



PHILIP
ROTH

KONAJĄCE
ZWIERZE

Czytelnik

PHILIP
ROTH
KONAJĄCE
ZWIERZE

Przełożyła Jolanta Kozak



Czytelnik • Warszawa 2006

Dla N. M.

Ciało zachowuje historię życia w tym
samym stopniu co umysł.

EDNA O'BRIEN

Znałem ją osiem lat temu. Była na moim kursie. Nie wykładam już na pełnym etacie; ściśle mówiąc, w ogóle nie wykładam już literatury – od lat prowadzę tylko ten jeden kurs: obszerne seminarium z krytyki literackiej dla studentów ostatniego roku, pod nazwą Krytyka Stosowana. Przyciąga ono masę studentek. Z dwóch powodów. Po pierwsze, temat seminarium sugeruje kuszącą kombinację kariery intelektualnej i dziennikarskiej. Po drugie, panienki znają mnie z radia NPR, gdzie recenzuję książki, albo z telewizyjnej Trzynastki, gdzie wygłaszam pogadanki o kulturze. Przez piętnaście lat telewizyjnych występów w roli krytyka kulturalnego stałem się w okolicy postacią dość znaną, i tym właśnie tłumaczę popularność swojego kursu. Początkowo nie przypuszczałem, że dziesięć minut obecności na ekranie telewizyjnym raz w tygodniu może zrobić na kimkolwiek aż takie wrażenie, jakie obserwowałem u swoich studentek. Ale sława – nawet tak skromna jak moja – działa na nie jak potężny magnes.

Jak wiadomo, jestem niezmiernie wrażliwy na kobiecą urodę. Każdy z nas ma jakąś słabość, a moja jest właśnie ta. Widok piękna zaślepia mnie na wszystko dookoła. Studentki wchodzą na pierwsze zajęcia, a ja niemal natychmiast wiem, która dziewczyna jest dla mnie. Jest takie opowiadanie Marka Twaina, w którym bohater ucieka przed bykiem na drzewo, a byk zadziera łeb i myśli sobie: „Dopadnę cię, mój paniczu”. Zamieńmy „mój paniczu” na „moja panno” – i mamy sytuację mojego spotkania w sali wykładowej z nową grupą. Przenieśmy się osiem lat wstecz: ja mam już lat sześćdziesiąt dwa, a ona, dziewczyna, która nazywa się Consuela Castillo – dwadzieścia cztery. Jest niepodobna do reszty grupy. Nie wygląda na studentkę, przynajmniej nie na typową studentkę. To nie przerośnięta nastolatka, niechlujna i potargana, stale na kogoś pozująca. Consuela Castillo wysławia się kulturalnie, jest opanowana i ma nienaganną postawę – wydaje się wiedzieć coś o dorosłym życiu, włącznie z tym, jak należy siedzieć, wstać i poruszać się. Wykładowca wchodzący do sali widzi z miejsca, że ta dziewczyna albo już wie, albo chce wiedzieć więcej niż inne. Jej styl ubierania się. Nie nazwałbym go szykownym, nie ma w nim cienia ekstrawagancji – ale zacznijmy od tego, że Consuela Castillo nigdy nie nosi dżinsów, nawet wyprasowanych. Ubiera się starannie, z dyskretną elegancją, w spódnicę, sukienki i szyte na miarę spodnie. Nie po to, aby ująć sobie zmysłowości, ale raczej by dodać profesjonalizmu – nosi się jak atrakcyjna sekretarka prestiżowej firmy adwokackiej. Jak osobista sekretarka prezesa banku. Kremowa jedwabna bluzka pod szytym na zamówienie granatowym

żakietem ze złotymi guzikami, płaska torebka z kosztownej skóry, dopasowane do torebki niskie sztyblety i szara spódniczka z lekko elastycznej dzianiny, podkreślająca kształty ciała tak subtelnie, jak na nobliwą spódniczkę przystało. Fryzura naturalna, ale zadbana. Jasna karnacja, usta pełne, o łukowatym zarysie, czoło wypukłe – lśniące, gładkie czoło o elegancji rzeźb Brancusiego. Consuela Castillo jest Kubanką. Jej zamożna kubańska rodzina mieszka w Jersey, w okręgu Bergen, po drugiej stronie rzeki. Consuela ma kruczoczarne włosy, lśniące, ale leciutko szorstkawe. I jest dorodna. Jest dorodną kobietą. Trzy rozpięte guziki jedwabnej bluzki pozwalają domyślać się pod spodem jędrnego, pięknego biustu. Jej dekolt natychmiast rzuca się w oczy. I widać po niej, że o tym wie. Widać, że pomimo całej swojej nobliwości, skrupulatności i starannie pielęgnowanego stylu – a może dzięki nim – jest doskonale świadoma siebie. Na pierwsze zajęcia wchodzi w zapiętym żakiecie, ale już po pięciu minutach go zdejmuje. Gdy ponownie zerkam w jej stronę, widzę, że włożyła żakiet z powrotem. A więc jasne, że jest świadoma swojej siły, tylko jeszcze niepewna, jak jej używać, co z nią zrobić, jak dalece ją wykorzystać. Własne ciało wciąż jest dla niej nowością: wypróbowuje je, zastanawia się nad nim, trochę jak smarkacz, który paradytuje po ulicy z nabitą bronią i sam dobrze nie wie, czy naładował ją dla samoobrony, czy po to, by rozpocząć życie przestępcze. Ale ona jest świadoma jeszcze czegoś, czego nie byłem w stanie stwierdzić po pierwszych zajęciach: świadoma jest wagi kultury, którą traktuje ze staroświecką rewerencją. Nie żeby chciała żyć z kultury. Nie ma ani takiego zamiaru, ani możliwości – zbyt tradycyjnie została wychowana – ale nie zna nic ważniejszego ani wspanialszego na świecie. Jest typem osoby, którą zachwycają impresjoniści, ale która w kubistycznego Picassa musi wpatrywać się długo i uważnie – zawsze z poczuciem niepokojącej konsternacji – usiłując za wszelką cenę pojąć ideę dzieła. Stoi przed obrazem, oczekując zaskakującego, nowego doznania, nowej myśli, nowego uczucia, a gdy te nie przychodzą – wyrzuca sobie nieudolność i brak... czego właściwie? Wyrzuca sobie to, że nie wie nawet, czego jej nie dostaje. Sztuka o posmaku nowoczesności stanowi dla niej źródło nie tylko zagadki, ale i rozczarowania sobą. Ona przecież tak bardzo by chciała, żeby Picasso znaczył dla niej więcej, żeby przeistoczył ją wewnątrz – ale cienka zasłona przeciągnięta przez proscenium geniuszu utrudnia jej percepcję i narzuca adoracji pewien dystans. Consuela Castillo daje sztuce, wszelkiej sztuce, znacznie więcej, niż otrzymuje w zamian – daje jej swoistą, żarliwą szczerłość, niepozbanioną zniewalającego uroku. Uczciwe serce, śliczna buzia, spojrzenie zarazem zapraszające i zdystansowane, bajeczny biust, i ta świeżo

wykluta kobiecość, tak młodziutka, że wcale bym się nie zdziwił na widok okrucich skorupki przywartych do owoidalnej wypukłości jej czoła. Od pierwszej chwili wiedziałem, że to właśnie będzie moja dziewczyna.

Ale uwaga: od dobrych piętnastu lat przestrzegam jednej żelaznej zasady. Nie zadaję się już prywatnie ze studentkami, dopóki nie pozdają ostatnich egzaminów i nie uzyskają dyplomu, a ja nie przestanę występować wobec nich *in loco parentis*. Pomimo pokus – a nawet oczywistych sygnałów drugiej strony do rozpoczęcia flirtu – nie złamałem tej zasady ani razu, odkąd, jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych, przyklejono mi na drzwiach gabinetu numer telefonu zaufania dla ofiar molestowania seksualnego. Więc nie zadaję się ze studentkami przed dyplomem, aby nie przysłużyć się tym kolegom z uniwersytetu, którzy, gdyby tylko dać im pretekst, z największą radością zatrułiby mi życie.

Co roku prowadzę zajęcia przez czternaście tygodni i w tym czasie nie wdaję się w romanse ze słuchaczkami. Stosuję za to pewien trick. Trick uczciwy, jawny i niewinny – ale jednak trick. Po końcowych egzaminach i wystawieniu ocen urządжаю u siebie w domu imprezę dla całej grupy. Imprezy te zawsze są udane i zawsze przebiegają tak samo. Zapraszam na drinka około szóstej. Zapowiadam, że o ósmej kończymy, ale za każdym razem część gości siedzi do drugiej nad ranem. Najodważniejsi po dziesiątej ożywiają się i zaczynają opowiadać o tym, co ich rzeczywiście interesuje. W seminarium Krytyki Stosowanej uczestniczy zwykle dwadzieścia parę osób, z czego piętnaście-szesnaście to dziewczęta, a pozostałe pięć-sześć – chłopcy, w tym dwóch, najwyżej trzech heteroseksualistów. Połowa grupy opuszcza imprezę przed dziesiątą. Zostaje zazwyczaj jeden facet hetero, jeden homo, i, powiedzmy, dziewięć dziewczyn. Są to zawsze ci najkulturalniejsi, najinteligentniejsi i z największym polotem. Rozmawiają o tym, co czytają, czego słuchają, jakie oglądają wystawy – i to z entuzjazmem, jakiego nie zdradzają z reguły w dyskusjach ze starszymi, i bardzo rzadko z kolegami. Nagle odkrywają siebie nawzajem. I odkrywają mnie. Podczas imprezy przekonują się z nienacką, że jestem istotą ludzką. Nie wykładowcą, nie wcieleniem własnej reputacji, nie zastępcą rodziców. Widzą, że mam miłe, schludne, dwupoziomowe mieszkanie, widzą wielką, zajmującą prawie cały parter bibliotekę z rzędami regałów dwustronnie zastawionych lekturami całego mojego życia, widzą fortepian, widzą moje zaangażowanie w to, co robię – i zostają do późna.

Najzabawniejsza studentka tego roku wycięła mi numer jak ta kózka z bajki, która schowała się w zegarze. Ostatnich gości wyrzuciłem o drugiej, ale życząc im w drzwiach dobrej nocy, nie doliczyłem się jednej osoby.

– A gdzie się podziała nasza klasowa komediantka, córka Prospera? – spytałem.

– Miranda chyba już wyszła – odpowiedział ktoś z jej przyjaciół.

Więc zamknąłem za nimi i wziąłem się do sprzątanía – aż tu nagle słyszę trzaśnięcie drzwi na górze. Drzwi od łazienki. Miranda zeszła na dół roześmiana, promieniejąca beztróskim poczuciem bezkarności – aż do tej chwili nie zauważyłem, jaka jest ładna – i oświadczyła:

– Sprytna jestem, prawda? Schowałem się w łazience na górze, a teraz pójdę z panem do łóżka.

Taki drobiazg, najwyżej metr sześćdziesiąt w butach, a jednym ruchem ściągnęła sweter, obnażając dziewczęcy biust nieśmiało perwersyjnej dziewczicy z obrazu Balthusa. Oczywiście, że się z nią przespałem. W końcu przez cały wieczór Miranda zachowywała się tak, jakby zbiegła z ryzykownego melodramatu dzieła Balthusa w radosny żywioł studenckiej imprezy: łaźła na czworakach z wypiętą pupą, rozkładała się na mojej kanapie albo omdlewała na niby w bujanym fotelu, pozornie nieświadoma tego, że z podciągniętą wysoko spódniczką i nieprzystojnie rozwartymi nogami emanuje Balthusowską aurą kobiety na wpół gołej, chociaż całkowicie odzianej. Wszystko zakryte, a nic nie ukryte. Spora część tych pańienek rozpoczyna życie seksualne w czternastym roku życia, więc gdy dochodzą do dwudziestki, znajdzie się zawsze kilka gotowych spróbować, jak to się robi z facetem w moim wieku – choćby tylko raz, żeby nazajutrz opowiedzieć koleżankom, które będą się krzywić i dopytywać: „A nie jest pomarszczony? A nie pachnie dziwnie? A ma długi siwy zarost na piersi? A nie przeszkadzało ci jego obwisłe podgardle? Ani brzuch? Nie zrobiło ci się niedobrze?”

Już po wszystkim Miranda powiedziała mi:

– Na pewno spałem z setkami kobiet. Chciałem sprawdzić, jak to jest.

–No i?

Na co padła odpowiedź, w którą nie całkiem uwierzyłem, ale to nieważne. Miranda okazała wielką śmiałość – i to od samego początku, chociaż pewnie najadła się strachu, ukryta dzielnie w łazience. Odkryła, że

potrafi być odważna w konfrontacji z tak niecodzienną sytuacją, że potrafi pokonać wstępne lęki i domniemane wstępne obrzydzenie, natomiast ja – zważywszy specyfikę sytuacji – przeżyłem w sumie fantastyczne chwile. Rozpasana, błaznująca, wyuzdana Miranda, pozująca przede mną z bielizną u stóp. Sama przyjemność patrzenia na nią była rozkoszna. A na tym się bynajmniej nie skończyło. Tych parę dekad, które upłynęły od lat sześćdziesiątych, dokonało cudów w dziele dopełnienia rewolucji seksualnej. Nastąpiło oto pokolenie zdumiewających rozpustnic. Takich jak one nie było jeszcze nigdy w kategorii młodych kobiet.

Consuela Castillo. Zobaczyłem ją i wywarła na mnie piorunujące wrażenie swoim stylem bycia. Znała wartość własnego ciała. Wiedziała, kim jest. Wiedziała też, że nigdy nie wpasuje się w kulturalny świat, którego ja byłem obywatelem – kultura miała pozostać dla niej olśnieniem, a nie chlebem powszednim. Jednak przyszła na imprezę – a obawiałem się, że może nie przyjść – i po raz pierwszy zachowywała się wobec mnie swobodnie. Niepewny stopnia jej samokontroli i ostrożności, pilnowałem się bardzo, aby ani na zajęciach, ani przy okazji dwóch indywidualnych spotkań w moim gabinecie dla omówienia prac pisemnych, nie okazać jej szczególnego zainteresowania. Ona również nie zdradzała podczas tych dwóch prywatnych spotkań nic oprócz skromności i szacunku, notując pilnie wszystkie moje uwagi, nawet całkiem banalne. Wchodziła do gabinetu w żakiecie, i tak samo wychodziła. Za pierwszym razem – dodam, że siadaliśmy przy moim biurku obok siebie, przodem do drzwi, które zostawiałem szeroko otwarte na korytarz, tak że osiem naszych kończyn i dwa jakże odmienne torsy były świetnie widoczne dla każdego Wielkiego Brata mijającego mój gabinet (okno zresztą też było otwarte na oścież, otwarte przeze mnie, w obawie przed zapachem jej perfum) – za pierwszym razem miała na sobie eleganckie szare wełniane spodnie z mankietem, za drugim razem czarną dżersejową spódniczkę i czarne rajstopy, a do tego zawsze bluzkę podkreślającą mleczną biel skóry – jedwabną bluzkę w tym czy innym odcieniu kremowym, rozpiętą do trzeciego guzika. Na imprezie zdjęła jednak żakiet już po pierwszym kieliszku wina i wyzwolona z uniformu, uśmiechała się do mnie promiennie, z ujmującą szczerością. Nie dzieliło nas nawet pół metra; staliśmy w moim gabinecie, gdzie pokazywałem jej autentyczny rękopis Kafki – trzystronicowy tekst przemówienia, wygłoszonego przezeń na pożegnalnym bankiecie z okazji przejścia na emeryturę szefa biura ubezpieczeniowego, gdzie Kafka pracował – rękopis z tysiąc dziewięćset dziesiątego roku, подарowany mi

przez zamożną trzydziestoletnią mężatkę, która była przed laty moja studentką-kochanką.

Consuela rozprawiała z ożywieniem o wszystkim naraz. Dotknięcie rękopisu Kafki wprawiło ją w taką euforię, że zalała mnie potokiem pytań, które hodowała w zanadrzu przez cały semestr, tak jak ja hodowałem w sekrecie swój pociąg do niej.

– Jakiej muzyki pan słucha? Naprawdę gra pan na fortepianie? Czyta pan od rana do wieczora? Zna pan na pamięć wszystkie wiersze ze swojej biblioteki?

Każde z tych pytań dowodziło, jak zachwyca ją – to jej własne określenie – moje życie, moje spójne, uładzone, kulturalne życie. Ja w rewanżu spytałem o nią, o jej życie, i dowiedziałem się, że po ukończeniu szkoły średniej nie od razu poszła na studia – najpierw postanowiła zostać osobistą sekretarką. I właśnie to w niej od początku widziałem: nienaganna, lojalną osobistą sekretarkę, biurowy skarb mężczyzny na stanowisku, jakiegoś dyrektora banku albo szefa wielkiej firmy. Należała bezsprzecznie do minionej epoki, epoki lepszych manier – domyślałem się też, że na jej sposób myślenia o sobie, podobnie jak na sposób bycia, znacznie wpłynęło pochodzenie z rodziny zamożnych kubańskich emigrantów, którzy zbiegli z ojczyzny przed rewolucją.

– Nie podobał mi się zawód sekretarki – powiedziała mi. – Wytrzymałam w nim dwa lata, ale to nudny świat, a poza tym rodzice zawsze chcieli, żebym poszła do college'u i oczekiwali tego ode mnie. W końcu sama zdecydowałam się podjąć studia. Myślę, że z pracą to była z mojej strony taka próba buntu, dziecinna w gruncie rzeczy. I wstąpiłam na ten wydział. Zachwyca mnie sztuka.

Znów to „zachwyca”, wymawiane swobodnie i z całą szczerością.

– A jakie sztuki pani lubi?

– Teatr. Każdy teatr. Chodzę do opery. Mój ojciec przepada za operą i uczęszczamy razem do Met. Jego ulubieńcem jest Puccini. Uwielbiam chodzić z ojcem na spektakle.

– Kocha pani swoich rodziców.

– Bardzo.

– Proszę mi o nich opowiedzieć.

– No cóż, to Kubańczycy. Ludzie bardzo dumni. I świetnie sobie tutaj poradzili. Wszyscy Kubańczycy, którzy przybyli tu z powodu rewolucji, mają specyficzny światopogląd, dzięki któremu radzą sobie doskonale. Pierwsza ich grupa, do której zaliczała się moja rodzina, pracowała bardzo ciężko, nie unikając żadnych zajęć, i dorobiła się takich majątków, że – jak nam często powtarzał dziadek – ci, którzy początkowo brali społeczne zapomogi, bo sami nie mieli nic, często po paru latach wysyłali czeki do rządu Stanów Zjednoczonych ze zwrotem tych pieniędzy. Rząd, mówił dziadek, nie wiedział, co robić z tymi czekami. Po raz pierwszy w historii USA skarb państwa otrzymywał zwroty czeków.

– Dziadka też pani kocha. Jaki on jest?

– Taki jak mój ojciec: stateczny, niesamowicie tradycyjny, o poglądach rodem ze Starego Świata. Ciężka praca i wykształcenie przede wszystkim. To najważniejsze. Podobnie jak ojciec, dziadek jest też bardzo rodzinny. I bardzo religijny. Chociaż nieczęsto chodzi do kościoła. Ojciec też nie. Za to mama – owszem. Tak samo babcia. Babcia co wieczór odmawia różaniec. Znajomi przynoszą jej różańce w prezencie. Ma swoje ulubione. Babcia kocha różaniec.

– A pani chodzi do kościoła?

– Chodziłam, kiedy byłam mała. Teraz już nie. Rodzina to toleruje. Kubańczycy ich generacji musieli nauczyć się pewnej tolerancji. Rodzice chcieliby, żebyśmy, brat i ja, chodzili do kościoła, ale ja nie chodzę.

– Jakie rygory, nietypowe dla amerykańskiego modelu wychowania, musiała znosić młoda Kubanka dorastająca w Ameryce?

– Przede wszystkim, dużo wcześniejszy capstrzyk. Kiedy moi koledzy zbierali się latem na wieczorne spotkanie, ja musiałam właśnie wracać do domu. Ósma godzina i basta, nawet w pełni lata – to kiedy miałam czternaście, piętnaście lat. Ale mój ojciec nie był wcale jakimś potworem. Był i jest zwyczajnym, równym tatą. Tyle że żaden chłopiec nie miał wstępu do mojego pokoju. Nigdy. Poza tym jednym zakazem, odkąd skończyłam szesnaście lat, byłam traktowana w domu dokładnie tak samo, jak koleżanki – mam na myśli godziny powrotu, i tak dalej.

– A rodzice, kiedy przybyli do Stanów?

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Fidel jeszcze wtedy wypuszczał ludzi za granicę. Pobrali się na Kubie. Najpierw wyjechali do Meksyku. Potem przenieśli się tutaj. Ja urodziłam się już w Stanach, oczywiście.

– I uważa się pani za Amerykankę?

– Tutaj się urodziłam, ale nie: czuję się Kubanką. I to bardzo.

– Zaskakuje mnie pani, Consuelo. Sądząc po głosie, po manierach, po słownictwie typu „równy tata”, nazwałbym panią stuprocentową Amerykanką. Dlaczego sama uważa się pani za Kubankę?

– Pochodzę z kubańskiej rodziny. I tyle. W tym cała tajemnica. Cechą mojej rodziny jest niesamowita duma narodowa. Wszyscy zgodnie uwielbiają swoją ojczyznę. Zachowują ją w sercach. Mają ją we krwi. Tacy sami byli na Kubie.

– A za co tak kochają swój kraj?

– Za klimat wiecznego święta. Ludzie z ich sfery mieli tam wszystko, co najlepsze na świecie. Była to społeczność na wskroś kosmopolityczna, zwłaszcza gdy idzie o mieszkańców Hawany. Poza tym, tam jest pięknie. Urządzali fantastyczne zabawy. Żyli naprawdę jak w bajce.

– Zabawy? Proszę opowiedzieć mi o tych zabawach.

– Mam w domu zdjęcia mamy z balów kostiumowych. Zwłaszcza z pierwszego, gdy weszła do towarzystwa. Zdjęcia z jej balu dojrzałości.

– Czym zajmowała się rodzina matki?

– Och, to długa historia.

– Proszę opowiedzieć.

– Nasz pierwszy hiszpański przodek, ojciec babci ze strony matki, został przysłany na Kubę jako generał. Przywiózł wielki, stary hiszpański majątek. Moja babcia miała prywatnych nauczycieli, a od osiemnastego roku życia wyjeżdżała po suknie do Paryża. Rodzina z obu stron dziedziczy hiszpańskie tytuły szlacheckie. Niektóre bardzo, bardzo stare. Na przykład babcia jest w Hiszpanii... księżną.

– A więc jest pani księżniczką, Consuelo?

– Nie – uśmiechnęła się. – Jestem zwyczajną kubańską dziewczyną, która miała szczęście.

– W każdym razie wygląda pani na księżniczkę. Założę się, że w Prado wisi portret księżniczki uderzająco podobnej do pani. Zna pani słynny obraz Velázquez'a *Las Meninas*? Tyle że tam mała księżniczka jest złotowłosa blondynką.

– Chyba go nie widziałam.

– Znajduje się w Madrycie. W Prado. Pokażę pani reprodukcję.

Zeszliśmy krętymi schodami na dół, do mojej biblioteki, gdzie zdjąłem z półki wielki album Velázquez'a, po czym przez piętnaście minut, siedząc ramię w ramię, wertowaliśmy jego stronicę. Podczas tego elektryzującego kwadransa każde z nas o czymś się dowiedziało: ona, po raz pierwszy, o Velázquezie, a ja, po raz kolejny, o rozkosznej głupocie żądy. Tyle gadania! Perorowałem o Kafce, o Velázquezie... po co właściwie człowiek to robi? Pewnie po to, żeby robić cokolwiek. Tkać woale do tego tańca. Którego nie należy mylić z uwodzeniem. To nie jest uwodzenie. Kamuflujemy coś, co już istnieje – czystą chuć. Woal maskuje ślepe pożądanie. Potok słów daje mówiącemu, jak również słuchaczce, fałszywe poczucie panowania nad sytuacją. A przecież nie jest to rozmowa z adwokatem ani z lekarzem: cokolwiek powiesz, nie wpłynie to na bieg twoich poczynań. Bo wiesz już, czego chcesz, i wiesz, że dopniesz swego, i nic cię nie powstrzyma. Żadne słowo nie jest tu w stanie niczego zmienić.

Koronny dowcip, jaki nam płata fizjologia, to to, że poczucie intymności zjawia się, zanim jeszcze wiemy cokolwiek o drugiej osobie. Od pierwszej chwili wszystko jest jasne. Pociąga nas wzajemnie nasza powierzchowność, ale intuicyjnie wyczuwamy też głębszy wymiar. I niekoniecznie musi to być atrakcyjność symetryczna: ją pociąga w tobie jedno, ciebie w niej – drugie. Czysta powierzchowność, czysta ciekawość – i nagle bach! głębszy wymiar. To bardzo miło, że ona pochodzi z Kuby, że jej babcia miała taki tytuł, a dziadek siaki, że ja gram na fortepianie i mam na własność rękopis Kafki, ale to wszystko tylko objazd na drodze do celu, do którego zmierzamy – część uroku romansowania, jak przypuszczam, ale osobiście byłbym znacznie szczęśliwszy, gdyby mogło obejść się bez tej części. Mnie wystarczy w zupełności urok seksu. Czy kobieta oczarowałaby mężczyznę w takim stopniu, jak to czyni, gdyby wykreślić z ich relacji wątek erotyczny? Czy osoba dowolnej płci jest w stanie oczarować nas, jeśli w obcowaniu z nią nie ma podtekstu erotycznego? Jak inaczej można człowieka oczarować? Nijak.

Ona myśli: opowiadam mu o sobie. Interesuje go, kim jestem. To prawda, ale interesuje mnie, kim ona jest, bo chcę się z nią przespać. Wcale

nie musimy w to wciągać Kafki ani Velázquez. Rozmawiam z nią, ale cały czas zadaję sobie pytanie: jak długo jeszcze będę musiał tak nawijać? Trzy godziny? Cztery? Czy wytrwam do ośmiu? Dwadzieścia minut owijania w bawełnę, a ja już się niecierpliwie: co to wszystko ma wspólnego z jej biustem, jej skórą, jej dystygowanymi ruchami? Uprawiany przez nią flirt w stylu francuskim nie obchodzi mnie w najmniejszym nawet stopniu. Mnie obchodzi zwierzęca chuć. O nie, to nie jest uwodzenie. To komedia. Komedia nawiązywania kontaktu, który nie jest kontaktem – który nawet nie może równać się z kontaktem nawiązywanym bez sztuczności drogą pożądania. A to jest nachalna konwencjonalizacja, stwarzanie na siłę czegoś wspólnego, próba przesublimowania żądz w zjawisko stosowne społecznie. Tyle że to właśnie radykalna niestosowność czyni chuć chucią. Nie, te zawile manewry wcale nie posuwają sprawy naprzód, tylko cofają ją do pierwotnych popędów. Proszę nie mylić owijania w bawełnę z doraźnym interesem. Jasne, że zawsze może z tego wyniknąć coś więcej, ale to coś nie ma nic wspólnego z wybieraniem firanek, kupowaniem pościeli i podpisywaniem deklaracji o przystąpieniu do drużyny ewolucyjnej. Ewolucja może obejść się beze mnie. Ja chcę tylko przelecieć tę laskę, więc owszem, gotów jestem trochę poowijać w bawełnę, ale to dla mnie wyłącznie środek do celu. Ile jest w moim zachowaniu cynicznego podstępu? Chętnie odpowiedziałbym, że sto procent.

– Wybierzemy się kiedyś razem do teatru?

– Och, z największą przyjemnością – odpowiedziała, a ja wcale jeszcze nie wiedziałem, czy jest sama, czy ma chłopaka, i w ogóle mnie to nie obchodziło, a dwa czy trzy dni później – w tym samym roku dziewięćdziesiątym drugim, osiem lat temu – dostałem od niej liścik: „Bardzo dziękuję za zaproszenie na przyjęcie, za możliwość obejrzenia Pańskiego wspaniałego mieszkania i nadzwyczajnej biblioteki, za to, że dane mi było dotknąć rękopisu Franza Kafki. Był Pan łaskaw zapoznać mnie z twórczością Diego Velázquez...”

Dołączyła numer telefonu i adres, więc zadzwoniłem z propozycją wieczornego spotkania.

– Czy nie wybrałaby się pani ze mną do teatru? Na tym, jak pani wie, polega moja praca. Muszę niemal co tydzień obejrzeć jakiś spektakl, a zawsze dostaję dwa bilety, więc może zechciałaby mi pani towarzyszyć?

Zjedliśmy więc razem kolację na mieście i poszliśmy obejrzeć sztukę, która była do niczego, ale siedziałem obok Consueli, zerkając co chwila na jej piękny dekolt i piękne ciało. Ma doprawdy królewskie, dorodne, wspania-

łe piersi (stanik rozmiar D), i bielusięnką skórę, którą natychmiast chciałoby się polizać. W teatrze, w półmroku, magia jej bezruchu działała przemożnie. Cóż bardziej erotycznego w takiej sytuacji niż pozorny brak jakichkolwiek intencji erotycznych ze strony podniecającej kobiety?

Po spektaklu zaproponowałem jej drinka, zastrzegając się, że jest pewien szkopuł:

– Ludzie znają mnie z telewizji, więc gdziekolwiek pójdziemy, czy do Algonquina, czy do Carlyle'a, czy gdzieś indziej, mogą zakłócić nasze poczucie prywatności.

– Już w bufecie teatralnym zauważyłam, że nam się przyglądają – przyznała.

– Przeszkadzało to pani?

– Sama nie wiem. Po prostu zauważyłam. Ciekawa byłam, czy panu nie przeszkadza.

– Niewiele można na to poradzić – odparłem. – Koszty zawodowe.

– Pewnie tak. Na pewno wzięli mnie za pana fankę.

– W żadnym razie nie jest pani typem fanki.

– Ale ludzie na pewno tak myśleli.

– Proszę spojrzeć tam: to David Kepesh z jedną ze swoich licznych młodych fanek.

– Wzięli mnie za jakąś głupią, egzaltowaną pannicę.

– A jeśli nawet? – spytałem.

– To nie byłabym szczęśliwa z tego powodu. Chciałabym zrobić dyplom, zanim moi rodzice znajdą zdjęcie swojej córki na Szóstej Stronie w „Post”.

– Nie sędzę, aby miała pani trafić na Szóstą Stronę. Na pewno nie.

– Mam nadzieję.

– Ale jeśli to panią niepokoi – dodałem – to możemy ominąć problem, jadąc do mnie. Do mnie do domu. Na spokojnego drinka.

– Okej – odpowiedziała, chociaż dopiero po dłuższym, poważnym namyśle. – Tak chyba będzie lepiej.

Nie „świetnie”, po prostu „lepiej”.

Pojechaliśmy do mnie, gdzie poprosiła o nastawienie muzyki. Zawsze wybierałem dla niej łatwą muzykę klasyczną: tria Haydna, *Musikalisches Opfer*, dynamiczne fragmenty symfonii Beethovena, adagia z utworów Brahmsa. Spodobała jej się zwłaszcza Siódma Beethovena, i to tak bardzo, że przez kilka kolejnych wieczorów na jej pierwsze takty impulsywnie zrywała się z miejsca, udając, że dyryguje orkiestrą zamiast Bernsteina. Widok jej piersi, unoszących się pod bluzką podczas tych dziecinnych nieco popisów z niewidzialną pałeczką dyrygencką, był silnie podniecający – szczerze mówiąc, podejrzewałem, że w zachowaniu Consueli nie ma nic z dziecinady i że cała ta mimikra dyrygowania stosowana jest świadomie, aby mnie pobudzić erotycznie. Bo dość szybko musiało do niej dotrzeć, że fakty przeczą naiwnemu przekonaniu młodej studentki, iż panem sytuacji jest w tym układzie podstarzały wykładowca. W sprawach seksu nie ma bowiem punktu doskonałej równowagi. Równość seksualna nie istnieje i istnieć nie może, przynajmniej gdy idzie o proporcje zaangażowania obu stron, pierwiastka męskiego i żeńskiego. Ten żywioł nie pozwala się w żaden sposób ująć metrycznie. Nie obowiązuje w nim zasada fifty-fifty, jak w transakcji handlowej. Mowa wszak o chaosie erosa, o radykalnej destabilizacji warunkującej erotyczne podniecenie. Seks to zawsze powrót w leśny gąszcz. Powrót na trzęsawisko. To ciągła huśtawka dominacji, wieczna nierównowaga. Chcesz wyłączyć element dominacji? Chcesz wyłączyć element uległości? Dominacja to spłonka, z niej wytryska iskra, ona wprawia wszystko w ruch. Więc co pozostaje? Posłuchaj. Dowiesz się. Dowiesz się, do czego prowadzi dominacja. Dowiesz się, do czego prowadzi uległość.

Czasami, tak jak właśnie owego wieczoru, nastawiałem dla niej kwintet smyczkowy Dvořáka – muzykę elektryzującą, łatwo wpadającą w ucho i niezbyt wymagającą. Lubiała też, gdy grałem na pianinie: stwarzało to romantyczną, uwodzicielską atmosferę, która i mnie, i jej przypadła do gustu. Prostsze preludia Chopina. Schubert, coś z *Momentów muzycznych*. Fragmenty sonat. Nic szczególnie trudnego – utwory, które wykonywałem od dawna i chyba nieźle. Zazwyczaj grywam tylko dla siebie, nawet teraz, gdy osiągnąłem już pewną wprawę, ale wtedy przyjemnie mi było grać dla niej. Potęgowało to uczucie upojenia – w nas obojgu. Gra na instrumencie muzycznym to zabawna rzecz. Niektóre kawałki wykonuję już z łatwością, jednak większość utworów zawiera pasaże, które wciąż sprawiają mi kłopot, a nie zadałem sobie trudu, by rozwiązać ten kłopot przez lata samodzielnych ćwiczeń, bez nadzoru nauczyciela. Natykając się na problem techniczny, wymyślałem po prostu jakieś chytne rozwiązanie. Czasami się nie udawało –

pewne przeskokki, skomplikowane przejścia z jednego końca klawiatury w drugi, były istnymi łamańcami palców. Kiedy poznałem Consuelę, nie miałem jeszcze nauczyciela muzyki, więc stosowałem głupie własne improwizacje, wymyślone jako rozwiązania problemów technicznych. W dzieciństwie wziąłem tylko parę lekcji muzyki i do czasu, gdy pięć lat temu znalazłem nauczyciela; byłem właściwie samoukiem. Mocno niedokształconym. Jednak gdybym kiedyś na poważnie brał lekcje, nie ćwiczyłbym aż tyle, ile ćwiczę dzisiaj. Wstaję wcześniej i od świtu gram dwie do dwóch i pół godzin – myślę, że nikogo nie stać na więcej. Chyba że chcę osiągnąć jakiś szczególny cel – wówczas funduję sobie dodatkową sesję w późniejszych godzinach. Formę mam niezłą, ale dość szybko się męczę. I umysłowo, i fizycznie. Zaliczyłem masę literatury muzycznej. W żargonie fachowym nie oznacza to studiowania partytur, tylko odtwarzanie zapisów na instrumencie. Nakupowałem mnóstwo nut, z literatury fortepianowej mam właściwie wszystko, i przez wszystko przebrnąłem, wszystko próbowałem grać – cóż z tego, że kiepsko. Fragmentami może nie całkiem kiepsko. Ciekawiło mnie brzmienie, i tak dalej. Nie byłem dobrym pianistą, ale czerpałem z własnej gry pewną przyjemność. A przyjemność właśnie jest tematem naszej opowieści. Opowieści o tym, jak przez całe życie traktować z powagą własne skromne, prywatne przyjemności.

Lekcje gry sprawiłem sobie w prezencie na sześćdziesiąte piąte urodziny, w nagrodę za to, że w końcu wyleczyłem się z Consueli. I poczyniłem dzięki nim spore postępy. Teraz grywam naprawdę trudne kawałki. Intermezza Brahmsa. Schumanna. Jedno trudne preludium Chopina. Najtrudniejsze pasażę ćwiczę do upadłego, a gdy wciąż nie potrafię wykonać ich prawidłowo, pytam zdesperowany nauczycielkę:

– Nie radzę sobie z tym problemem. Jak go rozwiązać?

– Przećwiczycie tysiąc razy – odpowiada na to. Widać więc, że jak wszystkie przyjemności, muzyka też ma swoje nieprzyjemne strony, ale moja relacja z nią znacznie się pogłębiła, a to dla mnie teraz najważniejsze w życiu. Rozsądek nakazuje skupić się na muzyce. Jak długo można latać za dziewczynami?

Nie powiedziałbym, że moje muzykowanie podniecało Consuelę tak dalece, jak mnie jej żartobliwe dyrygowanie Beethovenem. Nawet dziś nie ośmieliłbym się stwierdzić, że cokolwiek we mnie pociągało ją erotycznie. Właśnie stąd w znacznej mierze – od pierwszego naszego wieczoru w łóżku,

osiem lat temu – brała się moja wieczna niepewność; właśnie dlatego, czy Consuela wiedziała o tym, czy nie, byłem od tamtej chwili chodzącą słabością i niepokojem; dlatego nie umiałem odpowiedzieć sam sobie, czy lepiej będzie widywać ją częściej, czy rzadziej, czy może wcale – dokonać rzeczy niepojętej i mając lat sześćdziesiąt dwa, wyrzec się dobrowolnie dwudziestoczteroletniej dziewczyny, która mi setki razy powtarzała: „Uwielbiam cię”, ale nigdy, choćby nieszczercze, nie zdobyła się na to, żeby mi szepnąć: „Pragnę cię, pożądam, nie mogę żyć bez twojego penisa”.

To nie było w stylu Consueli. Ale z tego właśnie powodu lęk przed utratą jej na rzecz kogoś innego nie opuszczał mnie ani na chwilę, myślałem o niej ustawicznie i, czy była blisko, czy daleko, nigdy nie byłem jej pewien. Ten obsesyjny wątek mnie wykańczał. W zauroczeniu lepiej nie myśleć zbyt wiele, tylko napawać się samym zauroczeniem. Mnie jednak nie był dany taki luksus: ja myślałem bez przerwy – myślałem, zamartwiałem się i, tak, cierpiałem. Skup się na przyjemności, powtarzałem sobie. Czyż nie dla przyjemności wybrałem takie życie, jakie wybrałem, nakładające na moją niezależność jak najmniej ograniczeń? Żonaty byłem raz, mam za sobą typowe nieudane małżeństwo dwudziestoparolatka, koszarne jak obóz wojskowy, po czym postanowiłem nie wdawać się w drugie nieudane małżeństwo, ani w trzecie, ani w czwarte. Postanowiłem nigdy więcej nie żyć w klatce.

Tej pierwszej wspólnej nocy siedzieliśmy na kanapie, słuchając Dvořáka. W pewnym momencie Consuela spostrzegła książkę, która ją zaintrygowała – nie pamiętam, co to było, chociaż tego momentu nie zapomnę nigdy. Odwróciła się ode mnie górną połową ciała – siedziałem tam, gdzie teraz ty, w rogu kanapy, a ona tutaj – i pochyliła się nad książką, rozłożoną na bocznym oparciu, a wówczas dostrzegłem pod ubraniem zarys jej pośladków, widziałem je wyraźnie, jak jedno wielkie zaproszenie. Consuela jest wysoką młodą kobietą w przyciasnym ciele. Jakby lekko niedopasowanym. Nie z racji nadmiernej tuszy. Ale nie jest to w żadnym razie typ anorektyczki. Widać na niej kobiece ciało, i to ciało solidne, obfite – dlatego właśnie je widać. No i miałem ją przed sobą, nie dosłownie leżącą na kanapie, ale prawie, z pośladkami wypiętymi bokiem w moją stronę. Kobieta tak świadoma własnego ciała jak Consuela – doszedłem do wniosku – zachęca mnie w ten sposób do podjęcia akcji. Instynkt seksualny pozostał jeszcze nietknięty – kubańskie normy przyzwoitości nie doznały uszczerbku. W tym lekko wypiętym tyłku nie widzę jeszcze żadnego naruszenia

niewinności. Cała moja wcześniejsza gadka, cała jej historia rodzinna, której musiałem wysłuchać, nic a nic na tym nie ucierpiały. Consuela umie wyjąć tyłek mimo wszystko. Wypina go w sposób pierwotny, naturalny. Wystawia na pokaz. I jest to pokaz pierwszej klasy. Sygnał dla mnie, że nie muszę dłużej powściągać zmysłu dotyku.

Zacząłem pieścić jej pośladki, z czego była wyraźnie zadowolona.

– Dziwna sytuacja – powiedziała. – Nie mogłabym nigdy zostać pana dziewczyną. Z wszelkich możliwych powodów. Pan żyje w innym świecie.

– Innym? – roześmiałem się. – Jak to: innym?

I, rzecz jasna, w takim momencie człowiek automatycznie zaczyna kłamać:

– To wcale nie są takie wyżyny, jak sobie pani wyobraża. To wcale nie jest świat z bajki. To w ogóle nie jest świat. Po prostu, raz na tydzień występuję w telewizji. Raz na tydzień mówię przez radio. Raz na parę tygodni pojawia się w druku na ostatnich stronach czasopisma, które ma góra dwudziestu czytelników. Mój program? To niedzielny poranek kulturalny. Nikt go nie ogląda. Więc nie ma co przejmować się moim światem. Z łatwością mogę panią w niego wprowadzić. Proszę ze mną zostać.

Sądząc z miny, zastanawia się nad tym, co powiedziałem. Ciekawe, co sobie myśli.

– Okej – mówi wreszcie. – Ale tylko raz. Na dzisiejszą noc. Nigdy nie będę mogła zostać pana żoną.

– Zgoda – odpowiadam, dziwiąc się w duchu: Kto jej proponował, żeby została moją żoną? Kto mówił o małżeństwie? Ja mam sześćdziesiąt dwa lata, ona dwadzieścia cztery. Dotknąłem raz jej tyłka, a ona mi oświadcza, że nie może wyjść za mnie za męża? Nie wiedziałem, że takie dziewczyny jeszcze istnieją. Ona jest jeszcze bardziej tradycyjna, niż myślałem. A może bardziej nietypowa, bardziej niezwykła, niż sobie wyobrażałem? Z czasem miałem się przekonać, że Consuela jest jak najbardziej zwykła, chociaż zarazem nieprzewidywalna. W jej zachowaniu nie ma nic automatycznego. Jest zarazem typowa i tajemnicza, a przy tym zaskakująco pełna drobnych niespodzianek. Jednak, zwłaszcza z początku, trudno mi było ją rozszyfrować, co mylnie – a może wcale nie – składałem na karb jej kubańskiego pochodzenia.

– Kocham mój przytulny kubański świat – powiedziała mi. – Kocham ciepło swojej rodziny, a już teraz widzę, że nie jest to coś, co pan by lubił albo cenił. Dlatego nigdy nie mogłabym należeć do pana całkowicie.

Ta naiwna szczerość w połączeniu ze wspaniałym ciałem tak mnie zauroczyła, że straciłem pewność, już wtedy, tej pierwszej nocy, czy mogę przelecieć ją jak pierwszą lepszą rozbrykaną Mirandę. Nie, Consuela nie była kózką chowającą się w zegarze. Cokolwiek mówiła, nie miało to znaczenia – była tak cholernie atrakcyjna, że nie tylko sam nie mogłem jej się oprzeć, ale nie wyobrażałem sobie mężczyzny, który przeszedłby obok niej obojętnie, i właśnie wtedy, gdy pieściłem jej pośladki, a ona tłumaczyła mi, dlaczego nigdy nie zostanie moją żoną, zrodziła się moja straszliwa zazdrość.

Ta zazdrość. Ta niepewność. Ten lęk przed jej utratą, nawet gdy leżała pode mną w łóżku. Obsesje, jakich w swym bogatym doświadczeniu nigdy nie zaznałem. Przy Consueli, jak przy żadnej innej kobiecie, pewność siebie ulotniła się ze mnie niemal w jednej chwili.

No więc poszliśmy do łóżka. Wszystko dokonało się szybko, nie tyle z racji mojego oszołomienia, ile z braku jakichkolwiek komplikacji z jej strony. Nazwijmy to jasnością stawiania sprawy. Albo świeżej próby dojrzałością – dojrzałością, rzekłbym, prostego gatunku: Consuela pozostawała w ścisłej komunii z własnym ciałem, o jakiej na próżno marzyła w relacji ze sztuką. Rozebrała się. Nie tylko bluzkę miała jedwabną – jedwabna była również bielizna. Bielizna niemal pornograficzna. Niespodzianka. Nagle wiesz, że dobierała ją, aby się podobać. Nagle wiesz, że dobierała ją z myślą o męskim spojrzeniu, nawet gdyby żaden mężczyzna nie miał jej nigdy oglądać. Nagle wiesz, że nic o niej nie wiesz: czy jest mądra, czy głupia, płytka czy głęboka intelektualnie, niewinna czy wyuzdana, kapryśna, rozważna, może nawet złośliwie przewrotna. Z powściągliwą kobietą o takiej sile erotycznej nigdy nic nie wiadomo – i nigdy nie będzie wiadomo. Nieprzenikniony gąszcz jej charakteru przesłania uroda. A jednak widok tej bielizny szczerze mnie wzruszył. Wzruszył mnie widok tego ciała.

– Jest na co popatrzeć – powiedziałem.

Dwie cechy anatomii Consueli rzucają się w oczy. Przede wszystkim biust. Takich wspaniałych piersi nie widziałem nigdy – a proszę pamiętać, że urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym i zdążyłem ich obejrzeć niemało. Piersi Consueli były kuliste, pełne, doskonałe. Typ piersi z sutkami jak spodki, nie jak wymiona. Takie duże, blade, różowobeżowe sutki są niesamowicie podniecające. Po drugie, Consuela miała proste włosy łonowe.

Normalnie bywają kręcone. A u niej przypominały owłosienie Azjatki. Proste, przylegające do skóry i niezbyt obfite. Te włosy łonowe to ważny szczegół, bo jeszcze będzie o nich mowa.

Tak, odrzuciłem kołdrę i Consuela Castillo weszła do mojego łóżka – superklasyczny okaz płodnej samicy z naszego gatunku ssaków. I już za pierwszym razem, chociaż miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, zgodziła się usiąść na mnie. A uczyniwszy to, nagle straciła pewność siebie i do momentu, aż dotknąłem jej ramienia, żeby opamiętała się i zwolniła tempo, poruszała się z dziką energią, jak w transie, z zamkniętymi oczami, uwikłana we własną dziecinną grę. Przypominało to nieco jej dyrygowanie na niby. Podejrzewam, że chciała zapomnieć się bez reszty, ale była na to za młoda i choć bardzo się starała, nie osiągnęła celu. Znała jednak magiczny urok swojego biustu i chciała, abym widział go w całej okazałości, toteż usiadła na mnie, gdy ją o to poprosiłem. Wtedy też po raz pierwszy dokonała aktu wręcz pornograficznego, i to z własnej inicjatywy: popieściła piersiami mój penis. Sam, uniósłszy się, umieściłem go w zagłębieniu jej biustu, chcąc widzieć, jak tam leży, a Consuela ścisnęła go między piersiami. Wiedziała, jak podniecająco działa na mnie ten widok – widok mojej skóry stykającej się z jej skórą. Powiedziałem, pamiętam: „Czy wiesz, że masz najpiękniejsze piersi, jakie kiedykolwiek widziałem?” Na co ona, jak wzorowa osobista sekretarka notująca polecenie szefa, a może po prostu jak dobrze wychowana kubańska panienska, odparła: „Tak, wiem. Widzę, jak reagujesz na moje piersi”.

Ale ogólnie rzecz biorąc, początki naszego współżycia były zbyt nerwowe. Consuela zanadto próbowała zaimponować panu profesorowi. Zwolnij, bądź ze mną, prosiłem. Mniej energii, więcej zrozumienia. Na pewno potrafisz subtelniej sterować akcją. Nie mam nic przeciwko dzikiej naturalności, ale nie z takim dystansem. Kiedy ssła mnie pierwszy raz, poruszała rytmicznie głową w bezlitosnym tempie – rat-a-tat-tat – tak, że nie miałem wyjścia i osiągnąłem orgazm znacznie wcześniej, niż chciałem, ale ona tuż przed wytryskiem znieruchomiała i przyjęła mnie jak do martwego naczynia. Równie dobrze mógłbym spuścić się w kosz na śmieci. Nikt nie uczył jej, żeby właśnie w tym momencie nie zaniechała ruchów. Żaden z jej pięciu poprzednich narzeczonych nie śmiał jej tego powiedzieć. Byli za młodzi. W jej wieku. Szczęśliwi, że trafiło im się to, co dostali.

Aż nagle coś się stało. Ukąszenie. Ukąszenie odwzajemnione. Ukąszenie życia. Pewnej nocy Consuela przekroczyła granice swojej bezpiecznej,

uładzonej, wyćwiczonej sprawności, przechodząc na tereny nieznannej przygody – i tu zaczęła się dla mnie burza naszego romansu. A oto co się zdarzyło. Leżała pode mną na łóżku, biernie uległa, czekając, aż rozchylę jej nogi i wślizgnę się do środka – ale ja, zamiast to uczynić, podłożyłem jej pod głowę kilka poduszek, uniosłem tę bezwolną twarz do pionu, na wysokość swoich łądźwi, objąłem kolanami, i rytmicznymi, nieubłaganymi ruchami wszedłem w jej usta. Tak mnie już, widzisz, znudziły nasze rutynowe numerki, że chciałem ją zaszokować: dlatego nie dawałem jej się ruszyć, trzymałem za włosy, których kosmyk okręciłem sobie wokół jednej pięści jak smycz, jak popręg, jak rzemień uzdy.

Wiadomo, żadna kobieta nie lubi, żeby ją ciągnąć za włosy. Faktem jest, że niektóre to podnieca, co jednak wcale nie oznacza przyjemności. Nie lubią tego jako aktu dominacji, przed którym nie ma ucieczki, aktu, który musi rozegrać się do końca, który budzi w kobiecie myśl: Właśnie tak wyobrażałam sobie seks. To jest brutalne – sam facet nie musi być brutalem, ale stosuje brutalne chwytty. Po wytrysku, kiedy się wycofałem, Consuela miała minę nie tyle zgorszona, ile wściekła. Tak, nareszcie coś się z nią działo. Przestało być lekko, łatwo i przyjemnie. Skończyło się ćwiczenie palcówek. Przyszło niekontrolowane poruszenie wewnętrzne. Wciąż górowałem nad nią – klęczałem i kapało ze mnie spermą – i mierzyliśmy się nawzajem zimnym spojrzeniem, aż wtem ona, przełknawszy z trudem, kłapnęła zębami. Bez ostrzeżenia. Okrutnie. Na mnie. To nie była gra. To był instynkt. Kłapnęła zębami z pełną, dziką siłą mięśni żuchwy. Jakby chciała mi powiedzieć: Powinnam była zrobić to wcześniej, i chciałam, ale nie zrobiłam.

Nareszcie jakaś szczerą, odruchową, żywiołową reakcją ze strony tej opanowanej klasycznej piękności. Do tej chwili wszystko pozostawało pod kontrolą narcyzmu i ekshibicjonizmu, toteż pomimo energicznych popisów, pomimo zuchwałości, naznaczone było dziwną inercją. Nie wiem, czy Consuela pamięta tamto ukąszenie, ożywcze ukąszenie, które ją uwolniło od własnego nadzoru i wprowadziło w świat demonicznego snu – w każdym razie ja nigdy go nie zapomnę. Tej pełni miłosnej prawdy. Tej wiedzionej instynktem dziewczyny, która rozsadza nie tylko schron własnej próżności, ale i więzienie przytulnego kubańskiego domu. To był prawdziwy początek jej panowania – panowania, które zainicjowałem swoim panowaniem. Ja sam jestem autorem jej panowania nade mną.

Przypuszczam, że Consuela wyczuwała we mnie osiągalny wariant świetności własnej rodziny, owej zatraconej arystokratycznej przeszłości,

którą sama mniej lub bardziej przekształciła w mit. Mężczyzna światowy. Wyrocznia w sprawach kultury. Jej profesor. Przepastna różnica wieku, dla większości ludzi gorsząca, dla Consueli jest akurat atrakcyjna. Przeciętny człowiek widzi w tym erotyczne dziwactwo, niesmaczne dziwactwo – odpychającą farsę. Ale dziewczyny, które zadają się ze starszymi facetami, robią to nie pomimo ich wieku, lecz właśnie ze względu na wiek. Dlaczego? W przypadku Consueli zapewne dlatego, że znaczna różnica wieku między nami pozwala jej przyjąć pozycję podporządkowaną. Mój wiek i status społeczny dają jej, że tak powiem, licencję na uległość, a uległość w łóżku nie jest doznaniem niemiłym. A jednocześnie intymna zażyłość ze znacznie starszym mężczyzną zapewnia tego typu kobiecie poczucie władzy, jakiego nigdy nie zazna ona w układzie seksualnym z młodszym partnerem. Korzysta więc zarówno z uroków uległości, jak i z uroków panowania. Gdy jej władzy ulega rówieśnik – cóż to znaczy dla istoty tak jawnie godnej pożądania? Co innego dojrzały światowiec, zniewolony czystą siłą jej młodości i urody. Stanać w centrum uwagi, stać się obiektem żarliwej pasji mężczyzny niedostępnego w żadnej innej sferze, wkroczyć w ubóstwiany świat, który inaczej pozostałby dla niej zamknięty – oto prawdziwa władza, właśnie taka, jakiej ona pragnie. Dominacja nie przechodzi raz z partnera na partnera; dominacja jest przedmiotem nieustannej wymiany. A raczej nie wymiany, lecz ciągłej przeplatanki. I w tym właśnie leży źródło nie tylko mojej obsesji na jej punkcie, lecz i jej kontroobsesji na moim. Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało, tyle zdołałem wywnioskować z uporczywych dociekań, w co ona gra i dlaczego ja sam pogażam się coraz bardziej.

Choćbyś nie wiem ile wiedział, nie wiem ile myślał, nie wiem ile knuł, kombinował i planował – z seksem nie wygrasz. To bardzo ryzykowna gra. Mężczyzna nie miałby i jednej trzeciej swoich problemów, gdyby nie wypuszczał się na łózkowe eskapady. To seks wprowadza chaos w nasze normalnie uładzone życie. Wiem o tym nie gorzej niż wszyscy. Każdy najmniejszy odruch próżności wróci, odbity rykoszetem, aby z ciebie szydzić. Przeczytaj sobie *Don Juana* Byrona. Ale co robić, gdy ma się sześćdziesiąt dwa lata i pewność, że już nigdy w życiu nie dostanie się w ręce nic równie doskonałego? Co robić, gdy ma się sześćdziesiąt dwa lata, a wewnętrzny przymus brania tego, co jest jeszcze do wzięcia, działa silnie jak nigdy dotąd? Co robić, gdy ma się sześćdziesiąt dwa lata i świadomość, że wszystkie niewidoczne dotąd części ciała (nerki, płuca, żyły, arterie, mózg, jelita, prostata, serce) już niebawem ujawnią się w całej swojej przykrew okazałości,

natomiast organ przez całe dotychczasowe życie najjawniejszy skazany jest na uwiad i całkowitą utratę znaczenia?

Nie zrozum mnie źle. To nie o to chodzi, że przez jakąś Consuełę możesz mieć się fantazją ostatniego skoku we własną młodość. Przeciwnie, wyjątkowo wyraźnie czujesz, jak daleki jesteś od młodości. Ani przez moment nie zapominasz, że to ona, a nie ty, ma dwadzieścia cztery lata. Musiałbyś być ostatnim durniem, aby znów poczuć się młody. Takie poczucie złamałoby cię jak suchy badył. Jak najdalszy od młodzieńczych iluzji, odczuwasz brzemie jej nieograniczonej przyszłości, w przeciwieństwie do własnej, jakże ograniczonej; nęka cię także – dotkliwiej niż zazwyczaj – brzemie wszystkich utraconych łask. To tak, jakbyś grał w kosza z bandą dwudziestolatków. Sam nie czujesz się z tej racji dwudziestolatkiem. W każdej sekundzie gry jesteś świadom dzielącej was różnicy. Ale przynajmniej nie siedzisz za linią boiska.

Oto sedno sprawy: bolesna pamięć o tym, ile masz lat, towarzyszy ci stale, ale w nowy sposób.

Potrafisz wyobrazić sobie starość? Jasne, że nie potrafisz. Ja jej sobie nie wyobrażałem. Nie mieściła mi się w głowie. Nie miałem pojęcia, na czym ona polega. Żadnego wyobrażenia – choćby fałszywego. I nikt nie pragnie więcej. Nikt nie chce oglądać starości, dopóki nie musi. Do czego to wszystko prowadzi? Tępota w tej kwestii jest wręcz wskazana.

To zrozumiałe, że każde bardziej zaawansowane stadium życia jest dla nas na danym etapie niewyobrażalne. Zdarza się, że dopiero w połowie kolejnego stadium uświadamiamy sobie, że w nie wkroczyliśmy. Wówczas jednak stadia wcześniejsze niosą nam pewną pociechę. A mimo to nawet wiek średni dla wielu bywa ciosem. Ale koniec? Ciekawe jest w nim to, że po raz pierwszy człowiek staje na zewnątrz swojego życia, choć nadal w nim tkwi. Obserwując ustawicznie własny rozkład (jeśli ma się tyle szczęścia, co ja), nabiera się, dzięki trwającej wszak żywotności, swoistego dystansu do owego rozkładu – a nawet chojrackiego poczucia niezależności od niego. Nieustannie, to prawda, mnożą się znaki wiodące do niemiłych wniosków, ale człowiek mimo to patrzy na nie z zewnątrz. Zajadły upór tego obiektywizmu jest brutalny.

Należy przeprowadzić różnicę między umieraniem a śmiercią. Umieranie nie jest procesem ciągłym. Jeśli człowiek jest zdrow i czuje się

dobrze, umieranie przebiega niewidzialnie. Niewątpliwym koncem nie zawsze bywa zapowiadany z fanfarami. Nie, ty tego nie zrozumiesz. Jediną rzeczą, którą wie się o starych, nie będąc starym, jest to, że czas odcisnął na nich swoje piętno. Lecz takie rozumienie zamraża tylko starców w czasie, a zatem oznacza całkowite niezrozumienie. Dla tych, którzy nie są jeszcze starzy, stary oznacza kogoś, kto już był. A przecież starość, pomimo, i w dodatku, i w nadwyżce do tego, że się już było, oznacza równocześnie, że się wciąż jest. Bycie w czasie przeszłym pozostaje jak najbardziej żywe. Człowiek istnieje nadal, w równym stopniu nękany wciąż-byciem i jego pełnią, co dawniej-byciem i jego minionością. Pomyśl o starości w ten sposób: zwykły, codzienny stan życia wiszącego na włosku. Nie da się ominąć prawdy o tym, co wkrótce nas czeka. O ciszy, która otoczy nas na zawsze. Poza tym wszystko toczy się jak dawniej. Poza tym człowiek pozostaje nieśmiertelny aż do końca życia.

Nie tak znów wiele lat temu istniał gotowy patent na starość, tak jak istniał gotowy patent na młodość. Żaden z nich nie jest już dziś dostępny. W tej sferze rozegrała się wielka batalia o to, co dozwolone, zakończona wielkim przewrotem. Lecz czy, mimo wszystko, godzi się, aby siedemdziesięcioletek uczestniczył aktywnie w cielesnym wątku komedii ludzkiej? Aby był niepoprawnym, dalekim od klasztornej wstrzemięźliwości staruszką, wciąż podatnym na czysto ludzkie podniety? To nie jest dzisiaj stan, który niegdyś symbolizowała fajeczka i fotel bujany. Chociaż nadal bunt przeciwko zegarowi biologicznemu odbierany jest przez społeczeństwo jako lekki afront. Dobrze wiem, że nie mogę liczyć na nobliwy szacunek innych dorosłych. Cóż jednak poradzę na to, że, wedle mojego własnego rozeznania, nic, ale to nic w człowieku nie ulega uśpieniu, choćby był nie wiem jak stary?

Po tamtym wirtualnym ukąszeniu zaczęła odwiedzać mnie bardzo swobodnie. To już nie były wieczorne randki zakończone łóżkiem, odkąd uświadomiła sobie, jak niewiele jej trzeba do utraty kontroli. Teraz dzwoniła i pytała: „Mogę wpaść na parę godzin?”, wiedząc, że nigdy nie odmówię, wiedząc, że za każdym razem, jeśli chce usłyszeć ode mnie: Jest na co popatrzeć”, jakby była dziełem Picassa, wystarczy, że rozbierze się i stanie bez ruchu. Ja, jej wykładowca z kursu Krytyki Stosowanej, pięknoduch z porannych niedzielnych audycji rozgłośni PBS, najwyższa wyrocznia nowojorskiej telewizji w kwestiach teatru, muzyki i lektury – ja proklamowałem ją wybitnym dziełem sztuki, obdarzonym całą magią wielkiego dzieła sztuki. Nie artystką, ale sztuką samą w sobie. Nie musiała niczego rozumieć ani nie rozumieć – miała tylko być, na widoku, a

zrozumienie jej wielkości płynęło ode mnie. Nie żądało się od niej, tak jak nie żąda się tego od koncertu skrzypcowego czy księżyca, aby miała jakiegokolwiek pojęcie o sobie. Od tego byłem ja: ja stanowiłem samowiedzę Consueli. Ja byłem kotem obserwującym złotą rybkę. Tyle że to ta złota rybka miała zęby.

Ta zazdrość. Ta trucizna. W dodatku niczym niesprowokowana. Zazdrość, nawet gdy ona oświadcza mi, że idzie na łyżwy ze swoim osiemnastoletnim bratem. Czy to on będzie tym, który mi ją skradnie? W takich obsesyjnych romansach człowiek całkiem zatracą pewność siebie, zwłaszcza gdy namiętności sięgają szczytu, a dziewczyna jest trzy razy młodsza. Jestem więc niespokojny, dopóki nie porozmawiam z nią codziennie przez telefon, a po rozmowie niepokój opada mnie na nowo. Dawniej sam bezwzględnie pozbywałem się kobiet, które domagały się regularnych telefonów, ot, tak sobie – teraz sam żądam tego obyczaju od Consueli: codziennego meldowania się przez telefon. Czemu ja w każdej rozmowie prawie jej komplementy? Czemu nie przestanę jej powtarzać, jaka jest doskonała? Czemu wciąż mam poczucie, że mówię tej dziewczynie nie to, co trzeba? Nie umiem wyobrazić sobie, jakie ona ma o mnie wyobrażenie – jakie ma wyobrażenie o czymkolwiek – i właśnie z tego pomieszania plotę brednie, które mnie samemu brzmią fałszywie i pretensjonalnie; dlatego zawsze odkładałem słuchawkę z poczuciem skrytego żalu do Consueli. Gdy jednak mija jakże rzadki dzień, w którym zdołałem zmusić się, by do niej nie przemówić, nie zadzwonić, nie uraczyć jej komplementem, nie zabrzmieć fałszywie, nie mieć żalu o to, co nieświadomie mi wyrządza – wtedy jest jeszcze gorzej. Nie mogę przestać robić tego, co robię, a wszystko, co robię, zostawia mi niesmak. Przy tej dziewczynie tracę poczucie autorytetu, niezbędne mi dla zachowania równowagi psychicznej, a przecież ona przychodzi do mnie właśnie z racji tegoż autorytetu.

Podczas nocy, których nie spędza ze mną, torturuję się myślami, gdzie może teraz być i co porabia. A nawet gdy po wieczorze u mnie wraca do domu, nie mogę spać. Bycie z nią to doświadczenie zbyt silne. Siadam na łóżku w środku nocy i krzyczę: „Consuelo Castillo, zostaw mnie w spokoju!” Dość tego, powtarzam sobie. Wstań, zmień pościel, weź drugi prysznic, pozbadź się jej zapachu, a potem jej samej. Musisz. To wyniszczająca kampania bez końca. A gdzie spełnienie, gdzie poczucie posiadania? Skoro ją bierzesz, to czemu nie możesz jej mieć? Nie dostajesz tego, czego chcesz, nawet kiedy dostajesz to, czego chcesz. Nie ma w tym spokoju i być nie może – winien jest wiek i nieunikniona waga sprawy. Różnica wieku powoduje, że doznaję przyjemności, ale ani na chwilę nie tracę pragnienia. Czy nigdy

przedtem mi się to nie zdarzyło? Nie. Nigdy przedtem nie miałem sześćdziesięciu dwóch lat. Nie jestem już w tej fazie życia, kiedy wydaje mi się, że mogę zrobić wszystko. A jednak pamiętam dokładnie, jak to jest. Widzisz piękną kobietę. Spozstrzegasz ją z daleka. Podchodzisz, pytasz: „Kim pani jest?” Idziecie na kolację. I tak dalej. Tak wygląda ta faza – faza beztraska. Wsiadasz do autobusu. A tam stworzenie tak olśniewające, że nikt nie śmie obok niego usiąść. Miejsce obok najpiękniejszej dziewczyny na świecie – to miejsce jest wolne. Więc je zajmujesz. Ale teraz to nie wtedy; teraz już nigdy nie będzie chłodnej nonszalancji, nigdy nie będzie spokoju. Gnębiło mnie, że ona chodzi po świecie w tej bluzce. Wystarczy zdjąć z niej żakiet i zostaje bluzka. Wystarczy zdjąć tę bluzkę i zostaje doskonałość. Jakiś młody facet znajdzie ją i zabierze. I to ode mnie – ode mnie, który rozpałem jej zmysły, który nadałem jej obecny status, który byłem katalizatorem jej emancypacji, który ją dla niego przygotowałem.

Skąd wiem, że jakiś młody facet ją zabierze? Bo sam bym to zrobił, gdybym był młodym facetem.

Za młodu byłem odporniejszy. Inni wcześniej ulegali zazdrości, a ja długo potrafiłem się przed nią chronić. Dawałem kobietom swobodę, pewien, że i tak wygram swoją przewagą seksualną. Bo zazdrość to, wiadomo, pułapka, w której tkwi kontrakt małżeński. Mężczyzna reaguje na zazdrość typowo: „Nikt inny nie będzie jej miał. Tylko ja. Ożenię się z nią. Tak ją usidlę. Konwencją”. Małżeństwo leczy z zazdrości. Dlatego tak wielu mężczyzn się do niego ucieka. Nie są pewni partnerki, więc skłaniają ją do podpisania kontraktu: „Ślubuję uroczyście...”, i tak dalej. A jak ja usidlę Consuelę? To myśl śmiertelnie upokarzająca, ale realna. Z całą pewnością nie zatrzymam jej przy sobie obietnicą małżeństwa – ale czym w takim razie może mężczyzna w moim wieku zatrzymać młodą kobietę? Co mam jej w zamian do zaoferowania w tym mlekiem i miodem płynącym świecie wolnorynkowego seksu? I tu właśnie zaczyna się pornografia. Pornografia zazdrości. Pornografia samozniszczenia. Jestem olśniony, jestem zauroczony – ale zauroczony poza kadrem akcji. Co stawia mnie na zewnątrz? Wiek. Otwarta rana wieku. Pornografia w swojej klasycznej formie rajcuje przez pięć do dziesięciu minut, po czym przeradza się w swoistą farsę. Ale w tej mojej pornografii obrazy są nieznośnie bolesne. Zwyczajna pornografia działa na zazdrość estetyzująco. Oddała udrekę. Zaraz – czemu właściwie „estetyzująco”? Dlaczego nie „anestetyzująco”? Zgódźmy się, że i tak, i tak. To forma przedstawienia – zwyczajna pornografia. Upadła forma sztuki. To już nie tylko iluzja, to jawny fałsz. Pożadasz dziewczyny z filmu, ale nie

zazdrościsz facetowi, który ją bzyka, bo staje się on namiastką ciebie. Nie do wiary, ale na tym właśnie polega potęga wszelkiej sztuki upadłej. Ten facet jest twoim zastępcą, na twoich usługach – dzięki temu żądło zazdrości przekształca się w przyjemność. Ponieważ ty sam jesteś niewidzialnym współnikiem obserwowanego aktu, zwyczajna pornografia oddala udrękę – podczas gdy moja pornografia ją konserwuje. W mojej pornografii dochodzi do utożsamienia nie z osobą zaspokojoną, która dostała swoje, lecz z osobą, która nie dostaje, która traci, która już straciła.

Jakiś młody facet ją znajdzie i zabierze. Widzę go. Znam go. Wiem, do czego jest zdolny, bo to jestem ja w wieku dwudziestu pięciu lat, jeszcze bez żony i dziecka; ten facet jest mną w stanie surowym, zanim jeszcze zrobiłem to, co wszyscy. Widzę go, jak ją obserwuje, idącą przez rozległy dziedziniec – kroczącą przez dziedziniec – w Lincoln Center. Pożera ją wzrokiem z ukrycia, zza kolumny, tak jak ja pierwszego wspólnego wieczoru, gdy zabrałem ją na koncert Beethovena. Ona ma na sobie botki, wysokie skórzane botki, i krótką dopasowaną sukienkę – taka porażająca młoda kobieta spaceruje sobie bezwstydnie po ulicach, pod gołym niebem ciepłej jesiennej nocy, wystawiona na lubieżne myśli i zachwyty całego świata – i uśmiecha się. Jest szczęśliwa. Ta porażająca młoda kobieta idzie na randkę ze mną. Tylko że w tym pornograficznym filmie nie występuję ja. Występuje on. On, który kiedyś był mną, ale już nie jest. Obserwuję go obserwującego ją i wiem dokładnie, co będzie dalej, wyobrażam to sobie ze szczegółami, niezdolny myśleć, jak rozum przykazał, we własnym dobrze pojętym interesie. Niezdolny uwierzyć, że nie wszystkich poraża widok tej dziewczyny, bo nie wszyscy mają obsesję na jej punkcie. Za to zdolny wyobrazić ją sobie gdziekolwiek. Zdolny wyobrazić ją sobie na ulicy, w sklepie, na imprezie, na plaży – i zawsze z tym facetem wyłaniającym się z cienia. Oto pornograficzna udręka: patrzeć, jak robi to ktoś, kto kiedyś był tobą.

Gdy w końcu tracisz taką dziewczynę jak Consuela, dopada cię to wszędzie, w każdym miejscu, w którym kiedykolwiek byliście razem. Gdy jej już nie ma, mało prawdopodobne, abyś pamiętał tylko ją – będziesz pamiętał puste miejsce przy niej, miejsce po sobie, lecz nie po tym sobie, który był z nią, tylko po dwudziestopięcioletnim chłopaku, którym już nie jesteś. Wyobrażasz ją sobie, jak kroczy w tej dopasowanej krótkiej sukience. Zbliża się do ciebie. Afrodyta. Potem cię mija, znika, a pornografia wymyka się spod kontroli.

Wypytyuję ją (choć co mi z tej wiedzy?) o dawnych chłopaków, z iloma przede mną spała, kiedy zaczęła, czy kochała się kiedyś z dziewczyną albo z

dwoma chłopakami naraz (albo z koniem, papugą, małpą) – i w odpowiedzi na te wszystkie pytania dowiaduję się, że miała tylko pięciu kochanków. Taka atrakcyjna, tak dobrze ułożona i olśniewająca, a miała stosunkowo niewielu chłopaków jak na współczesną dziewczynę. To wpływ (jeśli, rzecz jasna, mówi prawdę) surowych obyczajów tradycyjnej zamożnej rodziny kubańskiej. Jej ostatni chłopak był w dodatku durnym kolegą ze studiów, który nawet nie umiał jej bzykać jak należy, bo dbał tylko o własne orgazmy. Znana sprawa. Taki mężczyzna nie kocha kobiet.

Consuela, nawiasem mówiąc, nie była konsekwentna w swojej moralności. Pamiętam, że akurat w tym czasie George O'Hearn, poeta, przez całe życie maż jednej żony, miał przyjaciółkę w centrum, w sąsiedztwie Consueli; jadł z nią kiedyś śniadanie w barku. Consuela ich zobaczyła i straciła humor. Rozpoznała go dzięki zdjęciu na odwrocie okładki nowej książki jego autorstwa, którą od paru dni trzymałem na nocnym stoliku, i wiedziała, że znam go osobiście. Wieczorem tego samego dnia była u mnie.

– Widziałam twojego znajomego – oświadczyła. – O ósmej rano był z dziewczyną w lokalu i całował się z nią, a przecież jest żonaty.

Ten niezłomny rygoryzm obyczajowy nie przeszkadzał jej wcale działać wbrew wszelkiej konwencji i ciągnąć romansu z mężczyzną o trzydzieści osiem lat od niej starszym. Nie bez niepewności, nie bez chwil zwątpienia – to nieuniknione; jednak doświadczała czegoś szczególnego – wielkiego, zastępczego, nieoczekiwanego czegoś, co schlebiało jej próżności, syciło pewność siebie i, jakkolwiek emocjonujące, najwyraźniej nie nicowało jej kompletnie (odwrotnie niż mnie).

Consuela wyznała mi w czasie jednego z przesłuchań, że w szkole średniej miała chłopaka, który szalał za widokiem jej menstruacji. Kiedy tylko zaczynał jej się okres, dzwoniła do niego, a on natychmiast przybiegał, żeby patrzeć, jak krew spływa jej po nogach na podłogę.

– I pozwalałaś mu na to?

– Tak.

– A rodzina? Co z twoją tradycyjną rodziną? Miałaś piętnaście lat, nie wolno ci było wracać po ósmej wieczorem, nawet w lecie, a robiłaś takie rzeczy? Twoja babcia z tytułem książęcym nabożnie czci różaniec, a ty wyrabiasz takie rzeczy?

– Już nie miałam piętnastu lat, miałam szesnaście.

– Szesnaście. Ach tak. To wszystko wyjaśnia. I jak często się to zdarzało?

– Za każdym razem, jak miałam okres. Co miesiąc.

– A kim był ten chłopak? Podobno nie wolno ci było przyjmować chłopców w pokoju? Kto to był? Kto to jest?

Chłopiec z porządnej rodziny. Też Kubańczyk. Carlos Alonso. Bardzo dobrze ułożony, schludny – wyjaśnia mi Consuela – zawsze przychodził po nią pod same drzwi, w garniturze i pod krawatem, nigdy nie trąbił spod domu, czasem wchodził, witał się z rodzicami, siadał z nimi na pogawędkę; powściągliwy chłopiec z dobrej rodziny, doskonale świadomej własnej pozycji społecznej. Tak samo jak w jej rodzinie, tak i u niego okazywano wielki szacunek ojcu, wszyscy byli dobrze wykształceni, wszyscy płynnie dwujęzyczni, kończyli właściwe szkoły, należeli do właściwych klubów towarzyskich, czytali „El Diario” i „Bergen Record”, kochali Reagana, kochali Busha, nienawidzili Kennedy'ego – bogaci Kubańczycy z New Jersey, spadkobiercy Ludwika XIV – a ten Carlos dzwoni do Consueli i prosi ją: nie odbywaj menstruacji beze mnie.

Wyobraźcie to sobie. Popołudnie po szkole, łazienka, przedmiejska dzielnica Bergen County, i tych dwoje, zahipnotyzowanych enigmą jej krwawego upływu – jak jacyś, z przeproszeniem, Adam i Ewa. Bo Carlos też został zaczarowany. On także wie, że ona jest dziełem sztuki, sztuki klasycznej, pięknem w klasycznej formie, ale żywym, żywym – a czymże jest odpowiedź estetyczna na piękno żywe, proszę szanownych studentów? Pożądaniem. Tak, Carlos jest lustrem Consueli. Mężczyźni zawsze byli i są jej lustrem. Lubią nawet patrzeć na jej menstruację. Ona jest magią żeńską, której mężczyzna ujść nie zdoła. Chodzi kulturalnie odziana w chwalebna kubańska przeszłość, ale jej przyzwolenia wypływają z próżności. Jej przyzwolenia wynikają z patrzenia w lustro i powtarzania sobie: Jeszcze ktoś musi koniecznie to zobaczyć”.

– Dzwon do mnie – powiedziałem jej – kiedy zaczyna ci się okres. Chcę, żebyś przychodziła wtedy tutaj. Ja też chcę patrzeć.

Ja też. Oto dowód mojej nieskrywanej zazdrości, gorączki mojego pożądania – przez nie właśnie wydarzyło się coś bliskiego katastrofy.

Bo jednocześnie, w tym samym roku, miałem romans z niezwykle atrakcyjną, silną, odpowiedzialną kobietą, bez zadawnionych blizn, bez wad, bez szalonych poglądów, kobietą o przenikliwej inteligencji, pod każdym względem godną zaufania, zanadto pozbawioną ironii, aby stać ją było na lekki choćby dowcip, ale za to zmysłową, doświadczoną i czułą kochanką. Z Carolyn Lyons. Dawno temu, jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych, ona też była moją studentką. Przez parę dekad nie szukaliśmy się jednak nawzajem, toteż kiedy przypadkiem spotkaliśmy się pewnego ranka na ulicy, którą Carolyn szła właśnie do pracy, padliśmy sobie w ramiona, jakby to co najmniej kataklizm albo wojna światowa (a nie jej wyjazd na studia prawnicze do Kalifornii) rozdzielił nas na dwadzieścia cztery lata. Wymieniliśmy komplementy o swoim wyglądzie, pośmialiśmy się, wspominając pewien szalony wieczór w moim gabinecie, gdy Carolyn miała dziewiętnaście lat, wygłosiliśmy mnóstwo czułych uwag o przeszłości, po czym bez wahania umówiliśmy się na kolację na następny wieczór.

Carolyn wciąż była piękna, promieniała urodą o wydatnych rysach, chociaż spore kręgi skóry pod jej szarymi oczami zwiotczały i pocieniały jak bibułka, nie z powodu, jak miemam, chronicznej bezsenności, lecz z winy typowego zespołu rozczarowań, nierzadko obecnego w biografjach czterdziestoparoletnich kobiet sukcesu, którym wieczorne posiłki dostarczane są w plastikowej torbie pod drzwi apartamentu na Manhattanie przez kuriera-imigranta. Co do jej ciała, to zajmowało teraz więcej miejsca w przestrzeni. Dwa rozwody, brak dzieci, absorbująca, popłatna praca, wymagająca częstych wyjazdów za ocean – wszystko to zsumowało się w dodatkowe dwanaście kilogramów i dlatego kiedy poszliśmy do łóżka, Carolyn szepnęła: „Nie jestem już taka jak dawniej”, na co odpowiedziałem: „A myślisz, że ja jestem?” – i nie wracaliśmy więcej do tego tematu.

Na studiach Carolyn dzieliła pokój z jedną z największych numerantek kampusu, niejaką Janie Wyatt, charyzmatyczną aktywistką lat sześćdziesiątych w stylu Abbie Hoffman, dziewczyną z Manhasset, która napisała u mnie uroczą pracę dyplomową pod tytułem „Sto sposobów perwersyjnych zachowań w bibliotece”. Zacytuje pierwsze zdanie: „Spółkowanie w bibliotece to sama istota rzeczy, występek usankcjonowany, kampusowa czarna msza”. Janie ważyła najwyżej pięćdziesiąt kilo, mierzyła góra metr sześćdziesiąt, albo i to nie – i właśnie ta malutka blondyneczka, którą można było, zda się, podnieść i podrzucić jedną ręką, właśnie ona była uczelnianą królową świntuchów.

Carolyn w tym okresie bała się Janie. Carolyn mówiła mi ze zgrozą: „Ona sypia z mnóstwem facetów. Równocześnie. Wchodzisz do pokoju jakiegoś studenta albo młodego asystenta, a tam Janie spokojnie rozwiesza wyprane majtki na kranie w łazience”. Student, którego nagle dopadła ochota na seks, donosiła mi Carolyn, zwyczajnie, z marszu, dzwonił do Janie. Jeśli i ona akurat miała chętkę, szli do łóżka. Szedł sobie taki student przez kampus, nagle przystawał, myślał sobie: „Chyba zadzwonię do Janie” – i nie docierał potem na zajęcia. Sporo wykładowców miało Janie za złe tak ostentacyjne wyuzdanie, które utożsamiali z głupotą. Nawet niektórzy koledzy mówili o niej dziwka – co nie przeszkadzało im za chwilę iść z nią do łóżka. A Janie nie była ani głupkiem, ani dziwką. Janie była kimś, kto świetnie wiedział, co robi. Stawała hardo przed człowiekiem, w lekkim rozkroku, malutka, piegowata, z krótką blond czupryną, bez makijażu, jeśli nie liczyć wściekle czerwonej szminki, i spoglądała z rozbrajającym uśmiechem, który mówił: jestem, jaka jestem, robię, co robię, a jak się nie podoba, to twoja strata.

Czym Janie najbardziej mnie zdumiewała? Wieloma rzeczami – w początkowym okresie studenckiej rewolty wyróżniała się pod niejednym względem jako nowy, godny uwagi typ stworzenia. Najbardziej jednak zaskoczyła mnie – o dziwo – czymś, czego dziś nie uznalibyśmy wcale za szczególny wybryk, zważywszy na postęp obyczajowy, który od tamtego czasu poczyniły kobiety; czymś, co w przedziwny sposób nie przeczyło jej jawnie wyuzdanej postawie w życiu publicznym. Zaskoczyła mnie tym, że uwiodła najbardziej nieśmiałego mężczyznę kampusu, naszego poetę. Fraternalizacja między wykładowcami a studentami ekscytowała nie tylko nowością, lecz także jawnością, i stała się przyczyną licznych rozwodów, nie tylko mojego. Poeta pozbawiony był zwykłej ludzkiej umiejętności zabiegania o własne interesy. Jego egoizm manifestował się wyłącznie w języku. Zapisał się w końcu na śmierć, stosunkowo młodo, bo pozostawiony sam sobie w cudownej Ameryce, rozluźniał się wyłącznie pod wpływem alkoholu. Żonaty, z dwójką dzieci, był chorobliwie wstydlivy, o ile nie stał na katedrze i nie wygłaszał olśniewających wykładów o poezji. Wywabić z cienia takiego mężczyznę wydawało się rzeczą niemożliwą. Ale nie dla Janie. Na balandze. Studenci, i chłopcy, i dziewczęta, od dawna próbowali zbliżyć się do pana poety. Wszystkie inteligentne panienki miały chrapkę na tego romantycznego odludka, on jednak zdawał się nikomu nie ufać. Dopiero Janie podeszła do niego na imprezie, wzięła go za rękę, powiedziała: „Chodźmy zatańczyć” – i już miała gościa w saku. Wypląnął gładko na wody pełnego zaufania do tej

małej, do Janie Wyatt. Wszyscy jesteśmy równi, wszyscy jesteśmy wolni, możemy brać od życia, co nam się spodoba.

Janie, Carolyn i jeszcze trzy czy cztery zadziorne panienki z górnych warstw klasy średniej tworzyły grupkę nazwaną przez nie same „Rynsztokowy”. Muszę przyznać, że takich jak one wcześniej nie widziałem, nie tylko dlatego, że chodziły na bosaka, ubrane po cygańsku. One gardziły niewinnością. Nie tolerowały żadnej kontroli. Nie bały się ani ostentacji, ani skrytej intrygi. Bunt przeciwko własnej kondycji był dla nich wszystkim. Bardzo możliwe, że wraz ze swymi akolitkami stanowiły pierwszą w dziejach falę amerykańskich dziewczyn kierujących się tylko i wyłącznie własnymi popędami. Żadnej retoryki, żadnej ideologii, tylko jedna bezkresna łąka zabawy i rozkoszy. Jeszcze większej odwagi nabrały, uświadomiwszy sobie, jak wielkie mają możliwości – nikt ich już nie pilnuje, nie podlegają staremu systemowi, ani w ogóle żadnemu systemowi, mogą robić wszystko.

Z początku była to rewolucja improwizowana, rewolucja lat sześćdziesiątych: nasza maleńka kampusowa awangarda stanowiła pół, najwyżej półtora procent wszystkich studentek, co nie miało jednak znaczenia, bo siła wibracji szybko ogarnęła całą społeczność. Motorem kultury jest zawsze jej najwęźszy punkt, który pośród żeńskiej młodzieży naszego kampusu stanowiły Rynsztokowy Janie Wyatt, dzielne pionierki całkowicie spontanicznej przemiany seksualnej. Dwadzieścia lat wcześniej, za moich czasów studenckich, kampus był instytucją doskonale zarządzaną. Odgórnym regulaminem. Niekwestionowanym nadzorem. Władza pochodziła z odległego, kafkowskiego źródła – „administracji” – a język administracji pochodził chyba z czasów świętego Augustyna. Człowiek usiłował chytrze omijać macki tej kontroli, ale właściwie aż do roku sześćdziesiątego czwartego wszyscy podlegający reżimowi przestrzegali prawa, jak przystało na przykładnych członków nazwanej tak przez Hawthorne'a „klasy miłujących granice”. Potem nastąpiła długo odraczana eksplozja, bezpardonowy zamach na powojenną normalność i konsensus kulturowy. Wszystko, co niesforne, wyrwało się spod kontroli, dając początek nieodwracalnej transformacji młodego pokolenia.

Carolyn nigdy nie osiągnęła sławetnej reputacji Janie, ani nawet o to nie zabiegała. Uczestniczyła w demonstracjach, w prowokacjach, w obrazoburczej zabawie, ale z właściwą sobie samodyscypliną nie zbliżała się do granicy niesubordynacji, która mogłaby zagrozić jej przyszłości. Carolyn w wieku średnim – przynależąca teraz w całości do uładzonego świata i nieskarżąca się na normalność – nie jest dla mnie niespodzianką.

Atakowanie norm dopuszczalności seksualnej nigdy nie było jej powołaniem. Nie była nim też nieposkromiona samowola. Za to Janie – pozwolę sobie jeszcze na chwilę dygresji o Janie, gdyż to ona swymi skromnymi środkami odegrała rolę Simona Bolívara wobec Consueli Castillo. Tak, była to wielka rewolucyjna przywódczyni, na wzór południowoamerykańskiego Bolívara, którego armie zniszczyły potęgę kolonialnej Hiszpanii – insurekcyjnista, która nie bała się porwać na przeważające siły, „libertadora”, która godziła w panującą uczelnianą moralność i ostatecznie starła w proch autorytet administracji.

Dzisiejsze swobodne obyczaje seksualne moich dobrze wychowanych studentek są, w ich własnym mniemaniu, gwarantowane Deklaracją niepodległości, niedomagającą się od nich żadnej odwagi, a wręcz nakazującą zadekretowane w Filadelfii w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym prawo do poszukiwania szczęścia. W gruncie rzeczy jednak ów brak skrupowania, który dzisiejsze Consuele i Mirandy biorą za oczywistość, wywodzi się z zuchwałości bezwstydnich, wywrotowych dziewczyn w typie Janie Wyatt i zdumiewającego zwycięstwa, wywalzonego przez nie w latach sześćdziesiątych siłą oburzającego zachowania. Brutalny wymiar amerykańskiego życia, uwieczniony wcześniej w filmach gangsterskich, został przez Janie przeszczepiony na grunt kampusu – aż takiej bowiem pasji potrzeba było, aby skruszyć zawiasy starych norm. Tak wiodło się spór z nadzorcami: swoim własnym wulgarnym językiem, a nie ich gładką mową.

Janie urodziła się w mieście, a potem wychowała na przedmieściach Manhasset, na Long Island. Jej matka, nauczycielka, codziennie dojeżdżała środkami komunikacji miejskiej do Queens – skąd rodzina przeniosła się do Manhasset – gdyż nadal uczyła tam w dziesiątej klasie. Ojciec także dojeżdżał kilka kilometrów do pracy, tyle że w przeciwnym kierunku – do Great Neck, gdzie był partnerem ojca Carolyn w biurze prawniczym. Dzięki nim dziewczęta się poznały. Pusty podmiejski dom działał podniecająco na każdy erotyczny nerw w ciele Janie. Janie dojrzewała, kiedy zmieniała się muzyka, więc podkręcała ją na cały regulator. Podkręcała wszystko na cały regulator. Spryt Janie polegał na tym, że ledwie przeniosła się na przedmieścia, rozumiała, czemu one służą. W mieście nigdy nie była wolna, nigdy nie miała takiej swobody jak chłopcy. Za to w Manhasset odkryła swoje własne pogranicze. Sąsiedzi, owszem, byli, ale nie tak blisko jak w mieście. Wraciała ze szkoły pustymi ulicami. Było jak w typowym miasteczku z Dzikiego Zachodu. W okolicy ani żywej duszy. Wszyscy się wynieśli. Zanim

więc wrócili do domów swoimi pociągami, Janie urządziła sobie małą operację, mały prywatny spektakl. Trzydzieści lat później Janie Wyatt przedzierzgnęła się w Amy Fisher i harowała niewolniczo, obsługując własny warsztat samochodowy, ale jako Janie była błyskotliwą, urodzoną organizatorką – niezłomną, bezczelną mistrzynią surfingu na falach przemian. Przedmieścia, gdzie dziewczęta, bezpieczne od zagrożeń wielkiego miasta, nie musiały być trzymane pod korcem, gdzie rodzice byli zbyt zajęci doraźnymi sprawami – te przedmieścia stały się dla Janie amerykańską szkołą dojrzałości. Stanowiły naturalne pole do rozwoju edukacji nieusankcjonowanej. Wystarczyło osłabienie nadzoru plus stopniowe poszerzenie granic swobody dziecka, wyposażonego przez doktora Spocka w narzędzia nieposłuszeństwa – i samodzielność rozkwitła w najlepsze. Wymknęła się spod kontroli.

Tę właśnie transformację opisała Janie w swojej pracy dyplomowej. To była jej historia. Przedmieścia. Pigułka. Pigułka, która postawiła kobietę na równi z mężczyzną. Muzyka. Spółkowanie jako uniwersalny napęd. Rezonans bioder. Samochód. Smarkacze rozbijający się samochodami. Dobrobyt. Dojazdy do pracy. Rozwód. Masa dorosłych spraw. Trawka. Ćpanie. Doktor Spock. Wszystko to razem doprowadziło do powstania Akademii Władcy Much, jak Rynsztokowy zwały naszą uczelnię. Komórka rewolucyjna Janie nie chciała wysadzać świata w powietrze. Janie nie była Bernadina Dohrn ani Kathy Boudin. Rozmaite Betty Friedan też nie trafiały jej do przekonania. Rynsztokowy nie rościły sobie pretensji do reakcji społecznej i politycznej – pamiętajmy, że była to wciąż pierwsza część dekady. Wywrotowa działalność tego okresu przebiegała dwutorowo: z jednej strony libertynizm, przyznający jednostce pełną swobodę orgiastyczną, wbrew tradycyjnym interesom społecznym, z drugiej zaś – choć często nie do oddzielenia – rygorystyczna obrona praw obywatelskich i sprzeciw wobec wojny, czyli nieposłuszeństwo obywatelskie rodem z pism Thoreau. I właśnie połączenie tych dwóch nurtów utrudniało lekceważenie młodzieżowej orgii lat sześćdziesiątych.

Janie przewodziła jednak komórce przyjemnościowej, nie politycznej. Takie komórki przyjemnościowe istniały nie tylko w naszym kampusie, ale na wszystkich uczelniach – wszędzie snuły się tysiące półprzytomnych chłopaków i dziewczyn, roztaczających wokół siebie niezbyt piękną woń ustawicznego praktykowania nagannych zachowań. „*Twist and shout work it on out*” – to był ich hymn, a nie *Międzynarodówka*. Chutliwa, prosta muzyka do bzykania. Muzyka zapomnienia, ludowy bebop. Jasne, muzyka zawsze

sprzyjała sprawom seksu, w wyznaczonych granicach danego momentu historycznego. Nawet Glenn Miller, w czasach gdy do seksu dochodziło się jeszcze ciernistą drogą romansu, dosładzał, jak mógł, wiadome sytuacje. Albo młody Sinatra. Albo sam aksamitny dźwięk saksofonu. A jakie granice uznawały Rynsztokowy? One używały muzyki jak marihuany, jako propellera, jako symbolu swojego buntu, jako prowokacji spod znaku erotycznego wandalizmu. W moich latach młodości, w erze zespołów swingowych, do wprawiania się w nastrój służył wyłącznie alkohol. Te smarkule dysponowały całym arsenałem radykalnych antyinhibitorów.

Obecność tych dziewczyn na zajęciach była z kolei szkołą dla mnie: patrzyłem, jak się obnoszą ze swymi manierami, jak obnażają swoją wulgarność, słuchałem razem z nimi ich muzyki, paliłem z nimi i słuchałem Janice Joplin, tej ich białej Bessie Smith, ich rozwydrzonej, piwnicznej, zaćpanej Judy Garland, słuchałem Jimiego Hendriksa, tego ich Charliego Parkera od gitary, razem z nimi, na haju, słuchałem Hendriksa grającego na gitarze wspak, wywracającego wszystko do góry nogami, opóźniającego rytm, przyspieszającego rytm, z towarzyszeniem skandowanej w odurzeniu mantry Janie: „Hendrix i sex, Hendrix i sex”, której wtórowała Carolyn: „Piękny mężczyzna, piękny głos” – i obserwowałem narastającą giętkość, apetyty i podniecenie tych panienek, pozbawionych biologicznego lęku przed erekcją, pozbawionych lęku fallicznej transformacji mężczyzny.

Wszystkie te Janie Wyatt amerykańskich lat sześćdziesiątych wiedziały, jak obchodzić się z napalonymi facetami. Same były napalone, więc umiały załatwiać z nimi interesy. Awanturniczy samczy popęd, samcza inicjatywa, dla nich nie była bezprawnym działaniem, domagającym się denuncjacji i srogiej nagany, lecz sygnałem erotycznym, na który odpowiada się lub nie. Powściągać męski impuls? Skarżyć się na niego? Im ten system ideologiczny był zgoła obcy. Zbyt ceniły sobie zabawę, aby ulec odgórnemu indoktrynacji dumy, odrazy i pretensji. One były ze szkoły instynktu. Ich nie interesowało zastępowanie starych zahamowań, zakazów i nakazów moralnych nowymi formułkami czujności, nowymi systemami kontroli i nowym kanonem ortodoksyjnych przekonań. Dobrze wiedziały, gdzie szukać przyjemności i jak bez lęku poddawać się pragnieniu. Nie bojąc się agresywnych popędów, brnęły w głęboki żywioł przemian i – po raz pierwszy na amerykańskiej ziemi od czasów, gdy kobiety Pielgrzymów z Kolonii Plymouth zamknięte zostały w obyczajowym klasztorze przez dewocyjny rząd, broniący je w ten sposób przed zepsuciem ciała i grzesznymi skłonnościami mężczyzn – nastąpiła żeń-

ska generacja, która z własnych genitaliów czerpała wnioski o naturze doświadczenia i rozkoszach świata.

Walutą Wenezueli jest, o ile się nie mylę, bolivar? W takim razie mam nadzieję, że w Ameryce za prezydentury pierwszej kobiety dolar zastąpiony zostanie wyattem. Janie bezwzględnie na to zasłużyła. Zdemokratyzowała prawo do przyjemności.

Światło na scenę boczną. Angielski przyczółek handlowy w Merry Mount, który wprawiał w furję purytanów z Plymouth – słyszałeś coś o nim? Osada handlarzy futrami, mniejsza niż Plymouth i oddalona od niego o niecałe pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód. Tam, gdzie dziś mamy Quincy w stanie Massachusetts. Faceci chlali, sprzedawali broń Indianom, barłóżyli się z Indiankami. Wchodzili w konszachty z wrogiem. Kopulowali z indiańskimi kobietami, którym obyczaj nakazywał odbywać stosunek po psiemu, od tyłu. Diabelska enklawa w purytańskim Massachusetts, gdzie prawo stanowiła Biblia. Tańczyli tam w zwierzęcych maskach wokół umajonego pala, któremu co miesiąc uroczyście oddawali cześć. Hawthorne umieścił ten pal w jednej ze swoich nowel: gubernator Endicott posyła purytańską milicję pod wodzą Milesa Standisha, żeby ścięła trzydziestometrowy słup, umajony barwnymi chorągwiami, wstęgami, różami i porożami jeleni. „Radość i ponuractwo walczyły o imperium” – tak to pojmował Hawthorne.

Zarządcą Merry Mount był przez jakiś czas pewien spekulant, prawnik z zawodu, charyzmatyczny, dobrze ustosunkowany typ nazwiskiem Thomas Morton. Ktoś w rodzaju leśnego stwora z Szekspirowskiego *Jak wam się podoba* czy dzikiego demona ze *Snu nocy letniej*. Szekspir, nawiasem mówiąc, był współczesnym Mortona: urodził się raptem jedenaście lat wcześniej. Szekspir to Mortonowy rock-and-roll. Satrapę utracili najpierw purytanie z Plymouth, potem purytanie z Salem – zakuli w dyby, obłóżyli grzywną, wsadzili do więzienia. W końcu sam wybrał banicję w stanie Maine, gdzie zmarł, dożywszy niemal siedemdziesiątki. Ale nigdy nie wyrzekł się roli prowokatora. Dla purytanów stanowił źródło perwersyjnej fascynacji. Gdyż pobożność niedoskonała wiedzie logiczną drogą wprost do Mortona. Purytanie drżeli z obawy, że ich córki zostaną uwiedzione i zdeprawowane przez niefrasobliwego zwolennika mieszania ras z Merry Mount. Biały mężczyzna, biały Indianin, zwodzący dziewice na manowce? To gorsze niż czerwony Indianin, wykradający je podstępem. Morton mógł zrobić z ich

córek Rynsztokowy. Trapiło to purytanów równie dotkliwie jak fakt, iż Morton handluje z Indianami i sprzedaje im broń palną. Purytanie drżeli o swoje młodsze pokolenie, gdyż jego utrata oznaczałaby koniec ahistorycznego eksperymentu z dyktaturą nietolerancji. Odwieczna amerykańska śpiewka: uchronić młodzież przed seksem. Na to jednak zawsze jest za późno. Za późno, ponieważ młodzi już się urodzili.

Dwukrotnie ekspediowano Mortona do Anglii, by tam stawał przed sądem za niesubordynację, jednak angielskie klasy rządzące i Kościół anglikański miały w nosie nowo-angielskich Separatystów. Sąd za każdym razem oddalał sprawę Mortona, który spokojnie wracał do Nowej Anglii. Ten Morton – myśleli sobie Anglicy – ma rację; my też nie chcielibyśmy mieć go za sąsiada, ale facet nikogo do niczego nie zmusza, a ci zasrani purytanie to wariaci.

Autor książki *Of Plymouth Plantation*, gubernator William Bradford, rozwodzi się szeroko na temat szkodliwości Merry Mount jako „gniazda rozpusty” i „siedliska ohydneho występku”. „Popadli w szpony chuci i wiedli życie rozwiązłe, dopuszczając się z lubością wszelkiej profanacji”. Akolitów Mortona zwie gubernator „wściekłymi bachantami”, jego samego zaś tytułuje „Panem Nierządu” i magistrem „Szkoły Ateizmu”. Gubernator Bradford to potężny ideolog. Siedemnastowieczna pobożność umiała podsuwać celne zdania. Podobnie jak niepobożność. Morton również wydał książkę – *The New English Canaan* – opartą na zdradzających niekłamaną fascynację obserwacjach społeczności indiańskiej. Dla Bradforda była to jednak książka bluźniercza, gdyż wspominała także o purytanach jako tych, którzy „popisują się swoją religijnością, a nie znają ludzkich uczuć”. Morton wali prosto z mostu. Morton nie uznaje eufemizmów. Trzeba będzie poczekać trzysta lat, zanim głos Thomasa Mortona zabrzmie w Ameryce na nowo, bez ogródek, ożywiony przez Henry'ego Millera. Konflikt między Plymouth a Merry Mount, między Bradfordem a Mortonem, między prawem a bezprawiem – to kolonialna zapowiedź wielkiego przewrotu społecznego, który nastąpił trzysta trzydzieści z górą lat później, doprowadzając wreszcie do narodzin Ameryki Mortona, z wymieszaniem ras i wszelkimi innymi konsekwencjami.

Nie, lata sześćdziesiąte nie były aberracją. Mała Wyatt nie była aberracją. Była naturalną mortonistką w konflikcie trwającym od założenia państwa. Na dzikich amerykańskich rubieżach zawsze królować będzie porządek. Purytanie działali w imię prawa, pobożnej cnoty i roztropności – po drugiej stronie plasowała się nieprawość. Tylko czemu mówimy o prawie i

nieprawości? Dlaczego Morton nie został ogłoszony wielkim teologiem świata bez praw? Dlaczego nie widzi się w nim tego, kim był: ojca założyciela wolności osobistej? W purytańskiej teokracji człowiek miał wolność czynienia dobra; w Merry Mount Thomasa Mortona człowiek miał wolność – i kropka.

A takich Mortonów było wielu. Przedsiębiorczych awanturników nieuznających ideologii świętości, którzy mieli w nosie, czy są wybranymi, czy też nie. Przyłączyli się na „Mayflower” wraz z Bradfordem albo emigrowali później na innych statkach, ale nie wspomina się o nich przy Święcie Dziękczynienia, gdyż nie potrafili znieść życia we wspólnotach świętych i wyznawców, które nie dopuszczały żadnych odstępstw. Nasi pierwsi amerykańscy bohaterowie to gnębiciele Mortona: Endicott, Bradford, Miles Strandish. Merry Mount wykreślono z oficjalnej wersji historii, ponieważ nie była to utopia cnoty, a utopia szczerości. A przecież to twarz Mortona powinna być wykuta w skale Mount Rushmore. I dojdzie do tego niechybnie, w tym samym dniu, w którym dolar przemianowany zostanie na wyatta.

Moje Merry Mount? Ja i lata sześćdziesiąte? No cóż, brałem serio nieporządek tego stosunkowo krótkiego okresu, a jego naczelną hasło – wyzwolenie – pojmowałem jak najszerzej. Dlatego opuściłem żonę. Ściszej mówiąc, to ona nakryła mnie z Rynsztokówkami i wyrzuciła z domu. Jasne, niejedynemu wykładowca na wydziale zapuścił włosy i włożył hipisowskie ciuchy, ale tylko dla pozorów. Zwyczajni podglądacze i krótkodystansowcy. Od czasu do czasu wypuszczali się na małą przygodę, ale nigdy nie przekraczali linii okopów, by wkroczyć na pole walki. Ja natomiast, od chwili gdy pojąłem istotę tego nieporządku, byłem zdecydowany wyrwać z niego motywację dla siebie, rozwikłać dawne i obecne związki, i uczynić to nie cichcem, nie na boku; nie dać się wpędzić – wzorem wielu w moim wieku – ani w kompleks niższości, ani wyższości, nie dać się skołować, tylko podążać za logiką tej rewolucji aż do końca, nie padając po drodze jej ofiarą.

To wymagało pewnych starań. Brak tablicy upamiętniającej tych, którzy ucierpieli wskutek własnych ekscesów, nie oznacza, że ofiar nie było. Może niekoniecznie śmiertelnych, ale mocno pokiereszowanych. To nie była elegancka rewolucja, przebiegająca na nobliwej płaszczyźnie teoretycznej. To był szczeniacki, żywiołowy, niekontrolowany, drastyczny bałagan – jedna wielka burda, ogarniająca całe społeczeństwo. Chociaż miała i akcent komediowy. Ta rewolucja przypominała zarazem pierwszy dzień po rewolucji – jedną wielką idyllę. Ludzie ściągali bieliznę i ze śmiechem paradowali w

miejscach publicznych na golasa. Często ekscesy były czystą farsą, dziecinną farsą, ale dziecinną farsą zaskakująco daleko posuniętą; często jawiły się jako nagły przypływ nastoletniej mocy, jako eksplozja dojrzewania największej, najpotężniejszej amerykańskiej generacji, która jednocześnie doświadczała przemiany hormonalnej. Lecz skutki tego były rewolucyjne. Wszystko zmieniło się nieodwracalnie.

Sceptycyzm, cynizm, zdrowy rozsądek kulturowo-polityczny, który normalnie trzyma człowieka z dala od masowych ruchów, okazał się tu użyteczną tarczą. Nie wpadłem w taką euforię jak inni, ani też nie chciałem do tego dopuścić. Postawiłem sobie za zadanie oddzielić rewolucję od jej doraźnych rekwizytów, patologicznych pułapek, retorycznych niedorzeczności i farmakologicznego dynamitu, który kazał ludziom skakać z okien – moim zamiarem było obejść to, co najgorsze, ale podjąć i wykorzystać samą ideę, abym mógł sobie powiedzieć: Cóż to dla mnie za wielka szansa, coś za okazja dokonania własnej rewolucji. Dlaczego miałbym nakładać sobie wędzidło z tego tylko powodu, że przypadkiem urodziłem się w tym roku, a nie w innym?

Ludzie młodszy ode mnie o piętnaście, dwadzieścia lat, uprzywilejowani beneficjanci rewolucji, mogli pozwolić sobie na to, by przejść przez nią nieświadomie. Widzieli jeden wielki bal, widzieli rozbabrany raj dzikiego bałaganu, i bez myślenia, bez konieczności myślenia, brali go w posiadanie, zwykle z całym chłamek i śmieciem. Ja jednak musiałem myśleć. Byłem wciąż w kwiecie wieku, a mój kraj wkraczał w niezwykłą epokę. Czy nadaje się, czy też nie, do tego dzikiego, niesfornego, bezczelnego buntu, do tej radykalnej rozwałki poczciwej przeszłości? Czy zdołam opanować dyscyplinę wolności, przeciwną anarchii wolności? Jak zmienić wolność w system?

Znalezienie odpowiedzi na te pytania słono mnie kosztowało. Mam czterdziestodwuletniego syna, który mnie nienawidzi. Nie będziemy się w to wgłębiać. Ważne, że zbuntowany tłum nie natarł i nie wyważył drzwi mojej celi. Niesforny tłum stał na zewnątrz, ale tak się złożyło, że drzwi musiałem otworzyć sam. Ponieważ i ja byłem człowiekiem uległym, fundamentalnie stłamszonym, nawet jeśli przez lata małżeństwa wymykałem się z domu, żeby dupczyć kogo popadło. Wyzwolenie w stylu lat sześćdziesiątych chodziło mi po głowie od początku, tyle że ten początek, mój początek, nie miał w sobie ani krzty masowej zgody na coś w tym rodzaju, ani zaczątku fali społecznej, która mogłaby człowieka porwać i unieść. Jeżył się za to od przeszkód – jedną z nich była cywilizowana natura człowieka, drugą prowincjonalne korzenie, trzecią wychowanie w szlacheckim duchu powagi –

których nie dało się przeskoczyć w pojedynek. Trajektoria mojego wychowania i edukacji zwiódła mnie na manowce iluzji o powołaniu do życia rodzinnego, którego organicznie nie znośłem. Oto ja, ojciec rodziny, odpowiedzialny, żonaty, z dzieckiem – a tu zaczyna się rewolucja. Wielki wybuch, wszędzie dookoła dziewczyny, a ja co? – miałbym tkwić w małżeństwie, cudzołożyć dalej i powtarzać sobie: Jest jak jest, trzeba żyć w tym zniewoleniu?

Swoją drogę odnalazłem nie dlatego, że przyszedłem na świat w puszczy i wychowały mnie dzikie zwierzęta, dzięki czemu uwolniłem się w sposób naturalny. Żadna wrodzona mądrość w tej kwestii nie była mi dana. Mnie również brakowało władzy czynienia otwarcie tego, na co miałem ochotę. Człowiek, naprzeciwko którego siedzisz, to nie ten sam mężczyzna, który ożenił się w pięćdziesiątym szóstym. Pozyskanie wiedzy o zakresie autonomii jednostki wymagało przewodnika, jakiego nie mogłem znaleźć nigdzie, a przynajmniej nie w moim ciasnym światku – to dlatego małżeństwo i ojcostwo nawet mnie wydawało się w roku pięćdziesiątym szóstym jedynym naturalnym posunięciem.

W latach mojego dorastania nie było się samodzielnym przedsiębiorcą w królestwie seksu. Było się tam klientem. Było się złodziejem. „Łowiło” się macanki. Kradło się seks. Wabiło się, żebrało, pochlebiało, nalegało – o seks stale trzeba było walczyć, wbrew systemowi wartości, jeśli nawet nie woli samej dziewczyny. Zgodnie z panującą zasadą, kobietę należało zniewolić. Nauczona była bowiem, że tylko w ten sposób zachowa pozór cnoty. Gdyby dziewczyna tak zwyczajnie, bez specjalnego namawiania, zadeklarowała chęć złamania zasad i odbycia stosunku seksualnego, poczułbym się szczerze zażenowany. Prawo człowieka do życia erotycznego było bowiem obce przedstawicielom obu płci. Było nieznane. Dziewczyna, jeśli jej się spodobałeś, mogła się najwyżej zgodzić na obmacywanie – co w praktyce oznaczało sterowanie do celu jej ręką – ale zgoda na cokolwiek więcej z pominięciem rytuału psychologicznego obłężenia, nieustępliwego, maniackiego uporu i zachęty, była, mówiąc krótko, nie do pomyślenia. Nie istniał żaden inny sposób na numerek, jak tylko nadludzka wytrwałość. Mnie doprowadziła do sukcesu raz w ciągu czterech lat studiów. Na więcej nie było pozwolenia. W zapyziałym miasteczku w górach Catskill, gdzie moja rodzina prowadziła pensjonat, a ja dorastałem w latach czterdziestych, seks pozamałżeński uprawiało się albo z prostytutką, albo z dziewczyną, z którą się przechodziło kawał życia i która była w oczach wszystkich oczywistą

kandydatką na twoją żonę. I faktycznie, tytułem należnej zapłaty, najczęściej dochodziło do małżeństwa.

Moi rodzice? Jak rodzice. Wychowany zostałem, wierz mi, w duchu sentymentalnym. Kiedy ojciec, przynaglony przez matkę, zdecydował się wreszcie odbyć ze mną rozmowę o seksie, miałem już lat szesnaście, był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty, i z niesmakiem słuchałem mętnych wywodów tej poczciwej duszy, urodzonej w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym w kamieniczce na Lower East Side. Ojciec miał mi do przekazania głównie to, co zazwyczaj powtarzali synom dobrotliwi ojcuzłkowie mojego pokolenia: „Ty jesteś cymes, ty jesteś skarb, ty możesz sobie zrujnować życie...” Nie wiedział, oczywiście, że już złapałem chorobę weneryczną od miejscowej latawicy, z którą zadawali się wszyscy. To tyle o rodzicach z tamtych dawnych dni.

Dla heteroseksualisty małżeństwo jest tym, czym wyświęcenie dla księdza: obaj składają ślub czystości, z tym że mężczyzna świecki uświadamia to sobie dopiero po trzech, czterech, pięciu latach. Typowe małżeństwo jest – z punktu widzenia potrzeb seksualnych – nie mniej tłumzące dla temperamentnego heteroseksualisty niż dla geja lub lesbijki. Chociaż dzisiaj nawet geje chcą zawierać śluby. I to kościelne. W obecności dwustu, trzystu świadków. Upłynie jednak trochę czasu i poznają na własnej skórze, co wyczynia popęd, przez który w ogóle stali się gejami. Spodziewałem się więcej po tych facetach, ale stwierdzam, że nawet im brak poczucia realizmu. To pewnie z obawy przed AIDS. Triumf i Upadek Kondomu – oto cała historia seksualna drugiej połowy dwudziestego wieku. Kondom powrócił. A wraz z nim powrócili wszyscy rozprawiczeni w latach sześćdziesiątych. Który mężczyzna przyzna szczerze, że seks z prezerwatywą sprawia mu taką samą przyjemność jak bez niej? Co to za frajda? Właśnie dlatego w naszych czasach ujścia przewodu pokarmowego walczyły o prymat z tradycyjnym organem funkcji seksualnej. Przesądziła o tym rozpaczliwa potrzeba kontaktu ze śliską, wilgotną membraną. Aby pozbyć się kondomu, mężczyzna musiał mieć stałą partnerkę – dlatego się żenił. Dzisiejsi geje są bojowi: chcą zawierać związki małżeńskie i otwarcie wstępować do wojska, z gwarancją pełnej akceptacji. Ja obu tych instytucji szczerze nienawidziłem. Obu za to samo: za rygorizm.

Ostatnią osobą, która brała te sprawy serio, był John Milton, trzysta pięćdziesiąt lat temu. Czytałeś jego traktaty o rozwodzie? Za życia przysporzyły autorowi niemało wrogów. Mam je tutaj, między książkami, gęsto popisane na marginesach jeszcze w latach sześćdziesiątych. „Czyż Zba-

wiciel otwarł nam owe ryzykowne i przypadkowe wrota małżeństwa po to, by zatrzaskać je za nami niczym bramy śmierci?...” Nie, mężczyźni nie wiedzą nic – w każdym razie dobrowolnie postępują tak, jakby nie wiedzieli – o bolesnym, tragicznym aspekcie tego, w co się pakują. W najlepszym razie obierają postawę stoicką: Tak, rozumiem, że prędzej czy później znudzi mnie seks w tym związku, ale naturalną kolejną rzeczy zastąpią go inne wartości, wyższej rangi. Czy jednak zdają sobie sprawę z ogromu wyrzeczenia? Czystość, życie bez seksu – a czym bronić się przed klęską, kompromisem, frustracją? Zarabianiem coraz większych pieniędzy? Płodzeniem coraz liczniejszego potomstwa? To pomaga, ale do tamtego się nie umywa. Bo tamto zakorzenione jest w naszej fizyczności, w ciele rodzącym się i ciele umierającym. Bo tylko w akcie seksualnym wszystko, co nas w życiu mierzi, i wszystko, co nam przynosi życiowe klęski, zostaje w sposób czysty – cóż, że tylko na chwilę? – skwitowane zemstą. Tylko wtedy jest się najoczywiściej żywym i najoczywiściej sobą. To nie seks stanowi źródło zepsucia – to cała reszta. Seks to nie tylko tarcie i banalna przyjemność. Seks to również zemsta na śmierci. Nie zapominajmy o śmierci. Nie zapominajmy o niej nigdy. Owszem, potęga seksu też ma swoje granice. Znam te granice doskonale. Powiedz mi jednak, czy istnieje większa potęga?

Wróćmy jednak do Carolyn Lyons, o blisko dwie i pół dekady starszej i kilkanaście kilogramów cięższej. Kochałem ją w poprzednich wymiarach, ale i te nowe szybko polubiłem, włącznie z monumentalną podstawą jej smukłego torsu. Czerpałem z niej natchnienie jak Gaston Lachaise. Szeroka pupa i ciężkie uda Carolyn jawiły mi się jako spiętrzony stóg kobiecości. A jej ruchy pode mną i delikatność jej podniecenia nasuwały kolejne sielskie porównanie: z orką na miękko sfałdowanym polu. Carolyn-kwiatuszek z czasów studenckich się zapylało; Carolyn czterdziestopięcioletnią się uprawiało. Dysproporcja między po dawnemu smukłą górną połową jej ciała a obfitością nowych partii dolnych odzwierciedlała intrygujące napięcie mojego postrzegania Carolyn jako całości. Stała się ona dla mnie ekscytującą hybrydą inteligentnej, nadwrażliwej, śmiałej pionierki, która na zajęciach stale trzyma rękę w górze, pięknej dysydyntki w cygańskich łąkach, najrozsądniejszej akolitki Janie Wyatt, która w roku sześćdziesiątym piątym znalazła odpowiedzi na wszystkie pytania – i asertywnej bizneswoman na kierowniczym stanowisku, którą została w kwiecie wieku, tryskającej obezwładniającym potencjałem.

Można było oczekiwać, że z upływem czasu, gdy dawne tabu żarliwie namiętnej relacji wykładowca-studentka przestanie sycić dopuszczalne już rozkosze chwili obecnej, nasze randki stracą swój nostalgiczny urok. Upłynął jednak rok i tak się nie stało. Dzięki swobodzie, spokojowi i fizycznej ufności, które zawsze towarzyszą podjęciu gry przez dawnych kumpli z drużyny – a także dzięki realizmowi Carolyn, dzięki jej wyczuciu proporcji, które, jak należało się spodziewać, godnością wieku dojrzałego zastąpiło romantyczne oczekiwania nader łatwowiernej panienki z wyższych sfer klasy średniej – zbierałem żniwa, o jakich nie było co marzyć w dzikich harcach na wzgórzach piersi Consueli. Nasze harmonijne, pozbawione szaleństw wieczory w łóżku – programowane z marszu przez telefon komórkowy, ilekroć Carolyn lądowała w sprawach służbowych na lotnisku Kennedy'ego – zapewniały mi teraz jedyny dostęp do pewności siebie z epoki przed nastaniem Consueli. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałem teraz zwyczajnego nasycenia, jakie gwarantowała Carolyn, mająca za sobą sprawdzian kobiecości, który stoicko przetrwała. Każde z nas dostawało dokładnie to, czego chciało. Nasze partnerstwo seksualne było spółką przynoszącą zysk obu stronom, a pikanterii dodawała mu dyrektorska maniera Carolyn. Przyjemność łączyła się tu z błogim spokojem.

Aż przyszła noc, gdy Consuela wyjęła tampon i stanęła w mojej łazience z jednym kolaniem ugiętym ku drugiemu, a krew ściekała jej po udach jak po nogach świętego Sebastiana z obrazu Mantegni – na moich oczach. Czy był to widok przejmujący? Czy byłem zachwycony? Czy byłem zahipnotyzowany? Jasne, tyle że znów poczułem się jak chłopak. Odważyłem się zażądać od niej rzeczy ostatecznej, a gdy bezwstydnie uległa, mnie na nowo opadła nieśmiałość. Zdawało się, że nie mam innego wyjścia – jeżeli nie chcę dać się doszczętnie upokorzyć jej egzotycznej trzeźwości – jak tylko paść na kolana i wylizać ją do czysta. Na co przystała bez słowa komentarza. Czyniąc ze mnie jeszcze mniejszego chłoptysia. Nieznośny ludzki charakter. Głupota bycia sobą. Nieunikniona komedia bycia w ogóle kimkolwiek. Każdy nowy eksces osłabiał mnie coraz bardziej – lecz cóż ma począć mężczyzna nienasycony?

Wyraz jej twarzy? Tkwilem u jej stóp. Tkwilem na podłodze. Wciskałem twarz w jej ciało niczym ssące niemowlę, więc jej twarzy nie widziałem. Ale, jak już mówiłem, nie wierzę, aby była onieśmielona. Nie dotknęła Consueli nowa, obezwładniająca emocja, z którą musiałyby się zmagać. Odkąd jako kochankowie ukończyliśmy grę wstępna, wydawała się zdolna do łatwego przyswajania wszelkich zachcianek, jakie prowokowała we mnie jej nagość. Dla niej niepojęte było, że żonaty mężczyzna, taki George O'Hearn, całuje się

publicznie o ósmej rano z kompletnie ubraną młodą kobietą – to stanowiło dla Consueli obraz chaosu. Ale mój wybryk? Drobny nowy kaprys, nic poza tym. Coś, co jej się zdarzyło, los fizyczny, który znosiła z taką lekkością. Pewnie, że atencja ze strony klęczącego u jej stóp autorytetu kulturalnego dawała jej poczucie własnej ważności. Consuela była przez całe życie pociągająca dla chłopców, kochana przez rodzinę, uwielbiana przez ojca – dlatego opanowanie, spokój, swoista posągowa obojętność stanowiły instynktownie przybieraną formę jej teatralności. Jakimś cudem oszczędzona jej została nieporadność, której doświadcza niemal każdy z nas.

To była noc czwartkowa. W piątek wieczorem Carolyn przyjechała do mnie z lotniska, a gdy siedziałem przy sobotnim śniadaniu, wmaszerowała do kuchni spod prysznic, ubrana w mój frotowy szlafrok, dzierżąc w dłoni zakrwawiony tampon, zawinięty w papier toaletowy. Najpierw mi go pokazała, a potem rzuciła nim we mnie.

– Pieprzysz inne kobiety – oświadczyła. – Przyznaj się i zaraz stąd pójde. Nie podoba mi się to. Miałam dwóch mężów, którzy sypiali z innymi babami. Nie znosiłam tego wtedy i nie znoszę teraz. A zwłaszcza w twoim wykonaniu. Łączy nas to, co nas łączy, a ty mi wykręcasz taki numer. Dostajesz wszystko, czego chcesz i jak chcesz – seks bez balastu wspólnego domu i romansu – a potem wykręcasz mi taki numer. Takich jak ja nie znajdziesz wiele, Davidzie. Mnie urządza dokładnie to samo, co ciebie. Rozumiem, co jest na rzeczy. Harmonijny hedonizm. Jestem jedna na milion, ty idioto, więc jak mogłeś coś takiego zrobić?

Przemawiała bez złości, nie jak żona zbrojna w pancerz roszczeń historycznych, tylko jak rasowa kurtyzana – z pozycji niekwestionowanej wyższości erotycznej. Miała do tego prawo: większość ludzi wnosi do łóżka to, co w ich biografii najgorsze – Carolyn wносиła tylko to, co najlepsze. Nie, nie była zła; była upokorzona i przybita. Jeszcze jeden niegodny, nienasycony samiec uznał jej bujną seksualność za niewystarczającą.

– Nie zamierzam się z tobą kłócić – powiedziała. – Chcę tylko poznać prawdę, a potem już więcej mnie nie zobaczysz.

Siląc się na opanowanie i okazując minimalne zaciekawienie, spytałem:

– Gdzie to znalazłaś?

Tampon leżał teraz na kuchennym stole, między maselniczką a imbrykiem.

- W łazience. W koszu na śmieci.
- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czyje to jest i skąd się tam wzięło.
- A może położysz to na bułce i zjesz? – zaproponowała.

Stać mnie było wyłącznie na odpowiedź:

– Bardzo chętnie, żeby sprawić ci przyjemność. Nie wiem jednak, czyje to jest. A uważam, że przed zjedzeniem powinienem wiedzieć.

– Mam dość, Davidzie. Ta sytuacja doprowadza mnie do szału.

– Coś mi przyszło do głowy. Pewne wyjaśnienie. Mój kolega George dysponuje kluczem do tego mieszkania. Dostał Pulitzera, odbywa wieczory autorskie, wykłada w New School i romansuje z kobietami, z dziewczynami, sypia z każdą po kolei, a ponieważ ze względów oczywistych nie może sprowadzać ich do domu, gdzie ma żonę i dzieci, i ponieważ trudno czasem o miejsce w nowojorskim hotelu... on zresztą cierpi na chroniczny brak pieniędzy, a wiele jego kobiet to mężatki, więc i do nich pójść nie można – jak dotąd, referowałem samą prawdę – to George czasami sprowadza je tutaj.

Ostatnie słowa prawdą nie były. Były kłamstwem dyżurnym, którym wielokrotnie ratowałem się w przeszłości, ilekroć odkryto u mnie inkryminujące dowody intymnej obecności innej kobiety, pozostawione czy to przez zaniedbanie, czy celowo. Kłamstwo dyżurne, stara śpiewka. Nie ma się czym chwalić.

– Ach tak – odparła Carolyn. – Więc George pieprzy wszystkie swoje kobiety w twoim łóżku.

– Nie, nie wszystkie. Ale część – owszem. George korzysta z łóżka w pokoju gościnnym. To mój przyjaciel. Jego małżeństwo nie jest rajem. Przypomina mi moje własne. Tylko skoki w bok dają mu oczyszczenie. Posłuszeństwo go dławi. Jak mogę mu odmówić?

– Na coś takiego jesteś zbyt pedantyczny, Davidzie. Zbyt uporządkowany. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. W twoim życiu wszystko jest na swoim miejscu, wszystko wyważone, wszystko celowe...

– No i to właśnie powinno cię przekonać...

– Tutaj ktoś był, Davidzie.

– Nie było nikogo. Nie ze mną. Naprawdę nie wiem, czyj to tampon.

Sytuacja była iskrząca, napięta, ale dzięki kłamstwu w żywe oczy przetrwałem i Carolyn, na szczęście, nie porzuciła mnie w chwili, gdy potrzebowałem jej jak nigdy. Odeszła dopiero później, na moją prośbę.

Przepraszam, muszę odebrać ten telefon. Muszę odebrać. Przepraszam...

Wybacz, że cię zostawiłem na tak długo. A nie był to nawet telefon, na który czekam. Dzwonił mój syn. Pragnął mi zakomunikować, jak głęboko dotknięty czuje się tym, co powiedziałem mu przy ostatnim spotkaniu. Chciał się też upewnić, czy dostałem jego list z wyrzutami.

Nigdy, powiem ci szczerze, nie myślałem, że stosunki między nami ułożą się gładko – podejrzewam, że syn zacząłby mnie nienawidzić nawet bez zachęty z mojej strony. Wiedziałem, że to trudna ucieczka i że przez mur mogę skoczyć tylko sam. Gdybym go zabrał, gdyby taka możliwość w ogóle istniała, to i tak byłaby bez sensu, ponieważ on miał osiem lat, a z małym dzieckiem nie mógłbym prowadzić takiego życia, o jakie mi chodziło. Musiałem go zdradzić, co nigdy nie zostało i nie zostanie mi wybaczone.

Rok temu, w wieku lat czterdziestu dwóch, mój syn został cudzołożnikiem: od tego czasu nachodzi mnie niezapowiedziany, kiedy chce. Jedenasta, dwunasta, pierwsza, nawet druga w nocy – dzwoni domofon: „To ja. Wpuść mnie, otwieraj!” Kłóci się z żoną, wypada z domu, bierze samochód i, chcąc nie chcąc, ląduje u mnie. Odkąd dorósł, nie widywaliśmy się latami; miesiącami nie rozmawialiśmy nawet przez telefon. Możesz sobie wyobrazić, jak mnie zdziwiła jego pierwsza nocna wizyta. Czego chcesz? – spytałem. Ma kłopoty. Jest w kryzysie. Cierpi. Z powodu? Romansuje z panienką. Młoda, dwudziestosześcioletnią, która niedawno przyszła do niego do pracy. Syn prowadzi małą firmę zajmującą się renowacją dzieł sztuki. Jego matka do emerytury też była konserwatorką dzieł sztuki. Po doktoracie na Uniwersytecie Nowojorskim zajął się jej dziedziną, połączyli siły i dziś firma całkiem nieźle prosperuje: mieści się na poddaszu w SoHo i zatrudnia osiemnaście osób. Sporo pracy dla galerii, prywatnych kolekcjonerów, domów aukcyjnych, ekspertyzy dla Sotheby's, i tak dalej. Kenny jest postawny, przystojny, ubiera się nienagannie, wypowiada się autorytatywnie, pisze inteligentnie, zna płynnie francuski i niemiecki – na ludziach ze świata sztuki niewątpliwie robi wrażenie. Ale nie na mnie. Moje ułomności są podglebiem jego cierpienia. Wystarczy, że znajdzie się w pobliżu mnie, a rana zaczyna krwawić. W pracy jest aktywny, zdrowy,

solidny, pod każdym względem sprawny – ale wystarczy jedno moje słowo, aby całkiem sparaliżować jego siłę. Wystarczy nawet moje milczenie, gdy on mówi, aby podważyć wszystko, co stanowi o jego efektywności. Jestem ojcem, którego syn nie potrafi pokonać, ojcem, którego obecność unicestwia siłę syna. Dlaczego? Może dlatego, że mnie nie było. Byłem nieobecny i przerażający. Byłem nieobecny i stanowczo zbyt znaczący. Zawiodłem go. To dostateczny powód, aby wykluczyć spokojną relację. W naszej wspólnej historii nie ma nic, co powściągałoby synowski instynkt składania wszystkich ułomności na karb ojca.

Jestem ojcem Kenny'ego Karamazowa, tym fundamentem, tą monstrualną siłą, przez którą on, święty człowiek miłości, człowiek, który zawsze musi zachowywać się porządnie, czuje się ofiarą i ojcobójcą, jakby był wszystkimi trzema braćmi Karamazow naraz. Rodzice odgrywają w psychice dzieci rolę legendarną, a o tym, że moja legenda to dostojewszczyzna, wiem już od schyłku lat siedemdziesiątych, kiedy to otrzymałem pocztą kopię pracy semestralnej Kenny'ego, napisanej na drugim roku studiów w Princeton, pt. „Rozważania o *Braciach Karamazow*”. Nietrudno było dostrzec, że książka ta jest dla niego ważna jako wyolbrzymiona fantazja jego własnej kondycji życiowej. Kenny zawsze zaliczał się do egzaltowanych młodych czytelników, dla których każda lektura ma znaczenie osobiste, przesłaniające wszelkie inne cechy literaturze właściwe. W tamtym okresie przeżywał bardzo naszą wzajemną obcość, nic więc dziwnego, że przedmiotem swojej pracy pisemnej uczynił ojca. Zdeprawowanego sensualistę. Osamotnionego starego lubieżnika. Starca z hordą młodych dziełatek. Nieznośnego bufona, który zakłada w domu harem dla kobiet lekkiego prowadzenia. Ojca, który, jak może pamiętasz, porzuca pierwsze dziecko, a wszystkie kolejne ignoruje – „gdyż dziecko”, jak pisze Dostojewski, „stawałoby na drodze jego rozwiązań”. Nie czytałeś *Braci Karamazow*? Przeczytaj koniecznie, choćby z uwagi na zabawny portret chutliwego, występnego i niegodziwego ojca.

Ilekroć Kenny w latach dorastania przychodził do mnie z problemem, problem ten dotyczył zawsze tego samego. I wciąż tego dotyczy: tego czegoś, co zachwiało jego obrazem siebie jako osoby o nienagannie sztywnym kręgosłupie. Zawsze starałem się, takim czy innym sposobem, zmodyfikować ten obraz, złagodzić go nieco, lecz osiągałem tylko tyle, że Kenny wpadał w furję, odwracał się na pięcie i biegł z powrotem do matki. Pamiętam, spytałem go kiedyś – miał trzynaście lat, szedł właśnie do gimnazjum i pomahał zatracał dziecięcy wygląd i barwę głosu – czy nie miałby ochoty spędzić ze mną lata w

wynajętym domku w górach Catskill, niedaleko pensjonatu moich rodziców. Był maj, pora popołudniowa, siedzieliśmy na meczu Metsów. Kolejna przykra dla nas obu wspólna niedziela. Moje zaproszenie tak zniesmaczyło syna, że pognął pędem do toalety puścić pawia. W dawnych czasach, w Starym Świecie, ojcowie wprowadzali synów w świat seksu, biorąc ich do burdelu – moja propozycja odebrana została widocznie w tym duchu. Kenny puścił pawia na myśl o tym, że po domu, do którego go zapraszam, będzie się pętać jedna z moich pańienek. Może nawet dwie naraz. Albo i więcej. Bo w jego wyobrażeniu mój dom był zwyczajnym burdelem. Ale ten paw świadczył nie tylko o obrzydzeniu syna wobec mnie: świadczył też o jego obrzydzeniu wobec własnego obrzydzenia. Dlaczego tak sądzę? Ponieważ wiem, czego Kenny pragnął nade wszystko; ponieważ chwila z ojcem – nawet z ojcem, który budzi złość i sprawia zawód – ma moc niezmierną i pełna jest bolesnej synowskiej tęsknoty. Mój syn był wciąż małym chłopcem, bezradnie szamoczącym się w potrzasku. Dopiero później dokonał kauteryzacji rany, kreując się na twardziela.

Na ostatnim roku studiów nabrał podejrzeń, słusznych zresztą, że zrobił dziecko koleżance z grupy. Zbyt przerażony, żeby przyznać się matce, przybiegł najpierw do mnie. Zapewniłem go, że nawet jeśli dziewczyna istotnie jest w ciąży, to on wcale nie musi się z nią żenić. Nie żyjemy w roku tysiąc dziewięćset pierwszym. Gdyby dziewczyna koniecznie chciała urodzić – co już deklarowała – to był to jej problem, a nie jego. Wolny wybór, za którym się opowiadałem, nie obejmował wolności dziewczyny do wyboru mojego syna. Namawiałem go, aby powtarzał jej jak najczęściej, że jako dwudziestodwuletni abiturient college'u nie pragnie dziecka, nie jest w stanie utrzymać dziecka i nie zamierza brać najmniejszej odpowiedzialności za dziecko. A jeśli ona, mając lat dwadzieścia dwa, gotowa jest sama podjąć taką odpowiedzialność, to jest to jej prywatna decyzja. Zaproponowałem mu pieniądze na aborcję. Powiedziałem, że jestem z nim i żeby się nie łamał.

– A jak ona nie zmieni zdania? – denerwował się. – Jak zwyczajnie odmówi?

Odparłem na to, że jeśli dziewczyna nie otrzeźwieje, to będzie musiała żyć z konsekwencjami własnej decyzji. Przypomniałem Kenny'emu, że nikt nie może go zmusić do zrobienia tego, czego nie chce zrobić. Powiedziałem mu coś, czego mnie, kiedy stałem na krawędzi własnego błędu, nie powiedział, niestety, żaden silny mężczyzna. Powiedziałem tak:

– Jeśli żyje się w takim kraju, który w kluczowe dokumenty ma wpisana emancypację oraz ducha i gwarancję osobistej wolności, jeśli żyje się w wolnym systemie, z założenia obojętnym na zachowania jednostki, o ile nie naruszają one granic prawa, to nieszczęścia, które na człowieka spadają, są najczęściej przez niego samego zawinione. Sytuacja byłaby inna, gdybyś żył w Europie okupowanej przez nazistów, w Europie zdominowanej przez komunizm albo w Chinach Mao Zedonga. Tam fabrykuje się nieszczęście dla człowieka, tam człowiek nie musi sam robić fałszywego kroku, aby stracić ochotę do budzenia się rankiem. Tu jednak, w kraju wolnym od totalitaryzmu, mężczyzna taki jak ty musi sam ściągnąć na siebie nieszczęście. Ty w dodatku jesteś inteligentny, elokwentny, przystojny, wykształcony – stworzony wprost do prosperowania w takim kraju jak nasz. Tutaj jedynym przyczajonym w ukryciu tyranem jest konwencja, której zresztą nie należy lekceważyć. Poczytaj sobie Tocqueville'a, jeśli jeszcze nie czytałeś. Nie zdezaktualizował się nic a nic, zwłaszcza gdy mówi o „przymusowym przesiewaniu wszystkich ludzi przez jedno sito”. Chodzi o to, żebyś nie myślał, że musisz z dnia na dzień przeistoczyć się w beatnika, członka cyganerii albo hipisa, żeby uniknąć pułapki konwencji. To wcale nie wymaga uduchowienia w obyczajach i strojach, które obce są twojemu temperamentowi i wychowaniu. Wcale nie. Wystarczy, Ken, żebyś odnalazł własną siłę. Masz ją w sobie, ja wiem, że ją masz – została tylko chwilowo sparaliżowana szokiem kłopotu, który ci się przytrafił. Jeśli chcesz żyć mądrze, poza zasięgiem haseł i niesprawdzonych reguł, musisz tylko odnaleźć własną...

I tak dalej, i tak dalej. Deklaracja niepodległości. Kodeks praw obywatelskich. Przemówienie gettysburskie. Akt emancypacji. Czternasta poprawka. Wszystkie trzy poprawki z czasów wojny secesyjnej. Przeleciałem z nim całą historię. Wygrzebałem dla niego egzemplarz Tocqueville'a. Myślałem: ma dwadzieścia dwa lata, nareszcie możemy z sobą rozmawiać. Przewyższyłem Szekspirowskiego Poloniusza. A to, co mówiłem, nie było przecież nazbyt śmiało – z pewnością nie jak na rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewięć. Nie byłoby zbyt śmiało nawet dla mnie, kiedy sam potrzebowałem takich rad. Poczęty w wolności – oto kwintesencja zdrowego amerykańskiego rozsądku. Ale kiedy skończyłem mówić – co uczynił mój syn? Zaczął mi wyliczać wszystkie nadzwyczajne zalety wiadomej dziewczyny.

– Tak, ale co z twoimi zaletami? – pytam.

Jakby mnie nie usłyszał, wyrecytował wszystko od początku: jaka to ona jest inteligentna, jaka ładna, jaka dowcipna, jaką ma fantastyczną rodzinę – a dwa miesiące później się z nią ożenił.

Znam wszelkie zastrzeżenia, jakie wysunąć może czysty i głęboko moralny młody mężczyzna w odpowiedzi na postulat osobistej niezależności. Znam te wszystkie wspaniałe etykiety, którymi opatruje się rezygnację z obrony własnej suwerenności. Cóż, problemem mojego syna jest potrzeba bycia wspaniałym za wszelką cenę. Kenny lęka się usłyszeć od kobiety, że taki nie jest. Słowo „egoista” całkowicie go obezwładnia. Ty cholerny egoisto. Takiego osądu boi się mój syn, więc osąd ten nim powoduje. Tak, jeśli idzie o wspaniałość, dowolnej natury, to na Kenny'ego zawsze można liczyć – dlatego kiedy Todd, jego najstarszy, szedł do gimnazjum, a moja synowa stwierdziła, że należy mieć więcej dzieci, Kenny w ciągu następnych sześciu lat został ojcem jeszcze trzy razy. Właśnie wtedy, gdy miał już dość małżonki i był nią znudzony. Ponieważ jest taki wspaniały, nie może porzucić żony dla swojej dziewczyny ani porzucić dziewczyny dla żony, a przede wszystkim nie może zostawić swoich drobnych dziełek. Ani matki, nie daj Boże. Jediną osobą, którą może porzucić, jestem ja. Wychował się jednak w atmosferze zarzutów przeciwko mnie i dlatego w pierwszych latach po rozwodzie musiałem na każdym spotkaniu z nim – czy to w zoo, czy w kinie, czy na meczu – bronić się i tłumaczyć jak przed sądem, dowodząc, że nie jestem taki, za jakiego mnie uważa jego matka. Zrezygnowałem w końcu, bo faktycznie taki jestem. Kenny był wytworem swojej matki, kiedy więc szedł na studia, postanowiłem nie walczyć dłużej o kogoś, kogo przyprawiałem o gwałtowne mdłości. Zrezygnowałem, bo nie chciało mi się udawać kobiecej potrzeby, przed którą Kenny bronić się nie umie. Mój syn jest skrajnie uzależniony od patosu kobiecej potrzeby. W latach, które przeżył sam z matką, kultywując owo niemodne uzależnienie – które, nawiasem mówiąc, w czasach przed emancypacją kobiet usidlało wszystkich szlachetnych mężczyzn – spędzałem z nim dwa tygodnie każdych wakacji w pensjonacie rodziców. Było to dla mnie wielką ulgą, że opiekę nad Kennym przejmują dziadkowie. Oni zlaknieni byli życia rodzinnego, a nasze synowsko-ojcowskie losy i tak nie rokowały żadnych szans. Kiedy jednak zabrakło dziadków, a Kenny został studentem, mężem, wreszcie ojcem... Mimo to zawsze dzwonił do mnie, gdy urodziło mu się kolejne dziecko. Uprzejmie z jego strony, zważywszy uczucia, jakie wobec mnie żywił. Od dawna świadom byłem swojej straty. Ale Kenny także poniósł stratę. Konsekwencje mojego bycia

tym, kim jestem, są dalekosiężne. Rodzinne klęski przechodzą z pokolenia na pokolenie.

A jednak, zawsze z zaskoczenia, raz na miesiąc, raz na sześć tygodni, Kenny przychodzi, by w mojej obecności wylać z siebie całą truciznę. W oczach ma lęk, w sercu wściekłość, w głosie znużenie; nawet elegancki strój nie leży już na nim jak ulał. Żona jest nieszczęśliwa i ma pretensje o dziewczynę, dziewczyna narzeka i pomstuje na żonę, a dzieci boją się i płaczą przez sen. Seks małżeński, katorżniczy obowiązek, którego wytrwale przestrzega, przerasta już nawet jego siły. Coraz częstsze kłótnie, coraz dokuczliwsze kłopoty żołądkowe, coraz więcej wymówek, coraz więcej pogroźek z jednej i drugiej strony. Ale gdy pytam: „Czemu w takim razie nie odejdziesz?”, on mi odpowiada, że jego odejście unicestwiłoby rodzinę. Nikt by nie przetrwał, wszyscy załamaliby się psychicznie, zbyt wiele spowodowałoby cierpienia. Dlatego muszą dalej czepiać się siebie kurczowo.

Widać stąd jasno, o ile szlachetniejszy jest mój syn od swego ojca, który go zdradził jako ośmiolatek. Życie Kenny'ego ma znaczenie, którego moje jest pozbawione. To mocny argument. Pod tym względem Kenny zdecydowanie mnie przerasta.

– Kenny – perswaduję mu – może byś wreszcie przyjął do wiadomości, że twój ojciec jest rzeczywistością? Że ma kutasa? Na tym właśnie polega rzeczywistość ojca. Okłamujemy dzieci w tej sprawie. Nie wolno szczerze rozmawiać z dzieckiem o kutasie ojca. Ani o tym, że wielu ojców nie zadowala się samym małżeństwem – to także trzyma się w sekrecie przed milusińskimi. Ale ty jesteś mężczyzną. Znasz te klocki. Znasz masę artystów. Znasz masę marszandów. Musisz wiedzieć, jak żyją dorośli. Czy to dla ciebie wciąż największy skandal, jaki można sobie wyobrazić?

Cała nasza relacja to obwinianie się nawzajem, chociaż nie według ustalonej tradycji. Pomijając Dostojewskiego, tradycyjna sytuacja wygląda odwrotnie: apodyktyczny ojciec i niepoprawny syn – karcenie idzie z góry. Mimo to Kenny nie przestaje mnie nachodzić, a ja wpuszczam go na pierwszy dzwonek.

– Ta twoja dziewczyna, ile ma lat? – pytam. – I wdała się w romans z czterdziestodwuletnim facetem, ojcem czworga dzieci, który jest jej szefem? Więc nie jest takim znowu wzorem cnót. Tylko ty jesteś wzorem cnót. Ty i twoja matka.

Trzeba było słyszeć, jak rozpływał się nad tą dziewczyną. Chemiczka, ma drugi dyplom z historii sztuki. I gra na oboju. Rewelacja – mówię mu. Nawet w cudzołóstwie jesteś lepszy ode mnie. On nie chce nawet nazwać tego cudzołóstwem. Jego cudzołóstwo różni się od cudzołóstwa innych mężczyzn. Zbyt wielkie jest w tym związku zaangażowanie emocjonalne, aby mówić o cudzołóstwie. A zaangażowanie emocjonalne to właśnie to, czego mnie brakuje. Moje cudzołóstwa nigdy nie były dość poważne jak na gust Kenny'ego.

No i słusznie. Staralem się nie dopuszczać do powagi sytuacji. Dla mojego syna jednak cudzołóstwo to rekrutacja nowej żony. Poznał się nawet z jej rodziną. Opowiedział mi, jak dzień wcześniej poleciał z ukochaną na rodzinne spotkanie.

– Poleciałeś specjalnie na Florydę? – zdumiałem się. – Tam i z powrotem w jeden dzień, żeby poznać jej rodziców? Ależ to czyste cudzołóstwo. Co z tym mają wspólnego jej rodzice?

Kenny opowiada dalej: początkowo, na lotnisku, rodzice potraktowali go chłodno i bardzo sceptycznie, ale nim zasiedli do wspólnego obiadu w ich rezydencji, już zadeklarowali córce, że za nim przepadają. Pokochali go jak syna. Wszyscy kochają się nawzajem. Warto było przyjechać.

– A siostrę swojej dziewczyny i jej urocze dzieci też poznałeś? – pytam. – A jej brata i jego urocze dzieci?

O kurczę, widzę, że mój syn jest na dobrej drodze do zamiany małego więzienia, którym jest jego obecne małżeństwo, na kombinat karny o zastrzyżonym rygorze. Jeszcze raz pcha łeb pod topór.

– Kenny, oczekujesz ode mnie przyzwolenia i aprobaty? W porządku, tak się składa, że chętnie udzielam ci przyzwolenia i aprobaty.

Ale jemu wciąż mało. Nie wystarcza mu, że jako jeden jedyne w tym wielkim kraju ma ojca, który pochwała jego postępek i może nawet gotów jest pomóc mu się urządzić z nową dupeczką, która ma cudowną rodzinę na Florydzie. Muszę jeszcze docenić wspaniałość jego dziewczyny.

– No i jeszcze do tego obój – mówię. – Czy to nie wspaniałe? Założę się, że w wolnych chwilach pisuje też wiersze. I jej rodzice również, jak mniemam.

Referencje, referencje, referencje. Ten facet nie jest zdolny do pieprzenia, jeśli nie stoi nad nim domina z pejcem w garści, ubrana w strój

pokojówki. Jedni mogą się pieprzyć tylko z karłami, inni z kryminalistami, jeszcze inni z podlotkami. A mój syn może to robić tylko z dziewczyną o właściwych referencjach moralnych. Błagam, niech mu ktoś powie, że to perwersja, nie lepsza i nie gorsza od każdej innej. Niech spojrzy prawdzie w oczy i przestanie czuć się taki niezwykły.

Jest. List, który, wbrew jego obawom, nie zaginął w poczcie. Datowany tej samej nocy ubiegłego tygodnia, gdy Kenny złożył mi wizytę. Jakbym przez ostatni rok wymiany inwektyw nie dostał dziesięciu takich samych. „Jesteś sto razy gorszy, niż myślałem”. Tak brzmi początek. Zaczynamy na maksa. A potem dalej. Pozwól, że ci odczytam: „Dalej trąbisz swoje. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Coś ty wygadywał? Musisz się ustawicznie potwierdzać, udowadniać, że twój wybór drogi życiowej był słuszny, a mój jest tchórzowski, groteskowy – niesłuszny. Przyszedłem do ciebie w skrajnej rozpacz, a ty poczęstowałaś mnie dawką psychicznej agresji. Lata sześćdziesiąte – wszystko, czym dzisiaj jest, to skutek tego, jak poważnie traktował Janis Joplin. Bez Janis Joplin nie przeistoczyłby się pod siedemdziesiątkę w modelowy obraz żalostnego, starego błazna. Długa biała plereza jakże ważnych włosów, zwiotczała szyja, skryta do połowy za fantazyjnym fularem – a kiedy zaczniesz pan różować policzki, Herr von Aschenbach? Czy ty wiesz, jak wyglądasz? Masz pojęcie? To twoje oddanie Sprawom Wyższym. Obrona barykad estetycznych w Kanale Trzynastym. Samotny bój o utrzymanie elementarnego poziomu kultury w masowym społeczeństwie. A co z utrzymaniem elementarnego poziomu przyzwoitości? Jasne, nie miałaś odwagi pozostać w świecie akademickim i spoważnieć – ty nigdy, ani przez jeden dzień życia, nie byłaś poważna. Gdzie jest teraz ta twoja Janie Wyatt? Ile ma za sobą rozbitych małżeństw? Ile załamania nerwowego? Ile szpitali psychiatrycznych zaliczyła przez te długie lata? Czy dziewczęta przychodzące na studia nie powinny być przed tobą chronione? Jesteś żywym argumentem za ich ochroną. Mam dwie córki, twoje wnuczki – gdybym pomyślał, że moje córki podejmą studia i będą miały takiego wykładowcę jak mój ojciec...”

I tak dalej, i tak dalej... aż do tego miejsca... tak, tu wali mocniej: „Moje dzieci boją się i płaczą, bo słyszą kłótnie rodziców i widzą, jak tatuś, bardzo zły, wychodzi z domu. Czy ty wiesz, jak ja się czuję wobec swoich dzieci, gdy wracam do domu późną nocą? Czy ty wiesz, co znaczy słyszeć płacz własnych dzieci? Skąd miałbyś wiedzieć? A ja ciebie broniłem. Ja ciebie broniłem. Usiłowałem nie wierzyć, że matka ma rację. Stawałem po twojej stronie, trzymałem z tobą. Musiałem – byłeś moim ojcem. W myślach

próbowałem cię usprawiedliwić, zrozumieć. Ale lata sześćdziesiąte? Ta eksplozja infantylizmu, ta wulgarna, bezmyślna zbiorowa regresja, która wszystko tłumaczy i usprawiedliwia? Nie stać cię na jakieś lepsze alibi? Uwodzenie bezbronnych studentek, zaspokajanie własnych potrzeb seksualnych kosztem wszystkich dookoła – to rzeczywiście taka nieodparta życiowa konieczność? Nie, koniecznością jest wytrwać w trudnym małżeństwie, wychować małe dziecko i zmierzyć się z dorosłą odpowiedzialnością. Przez wiele lat sądziłem, że matka przesadza. Ale ona nie przesadzała. Nie byłem świadom, aż do dzisiejszego wieczoru, przez co naprawdę przeszła. Nie byłem świadom bólu, jaki jej sprawiałeś – w imię czego? Ani balastu, którym obciążałeś ją – balastu, którym obciążałeś mnie, dziecko, które odtąd miało pozostać dla matki wszystkim na świecie – w imię czego? Twojej osobistej «wolności»? Nie znoszę cię. Nigdy cię nie znosiłem”.

A po miesiącu był u mnie z powrotem, żeby powiedzieć, jak dalece mnie nie znosi. I miesiąc później tak samo. I dwa miesiące później też. Więc jednak go nie utraciłem. Ojciec jest jednak dla niego jakimś punktem odniesienia. „To ja. Wpuść mnie. Otwórz drzwi!” Sytuacja, w jakiej się znalazł, nie skłania go do autoironii, ja jednak wierzę, że czerpie z niej więcej satysfakcji, niż się do tego przyznaje. Nie czerpie żadnej satysfakcji? Ależ musi. Nie jest przecież głupi, w żadnym razie. Niemożliwe, żeby dramat przeżyty w dzieciństwie prześladował go całe życie. Tak właśnie jest? No cóż, być może. Pewnie masz rację. Będzie krwawił z tej rany po kres swoich dni. Oto jeden z niezliczonych figli losu: czterdziestodwuletni mężczyzna przykuty do egzystencji trzynastolatka i stale przez nią torturowany. Może po prostu wciąż jest tak, jak wtedy na meczu. On pragnie wyrwać się za wszelką cenę. Pragnie oderwać się od matki, pragnie wyjechać z ojcem – ale jedyne, co może zrobić, to wyrzygać serce.

Mój romans z Consuelą trwał nieco ponad półtora roku. Bardzo rzadko wychodziliśmy w tym czasie na kolację czy do teatru. Ona zanadto bała się wścibskiej prasy i słynnej plotkarskiej Szóstej Strony – a mnie to całkiem odpowiadało, bo na jej widok zawsze miałem ochotę natychmiast pójść do łóżka, a nie siedzieć w teatrze na jakiejś zasranej sztuce.

– Wiesz, jakie są media, wiesz, co robią z ludźmi. Jeśli pójde tam z toba, to...

– W porządku, nie przejmuj się – odpowiadałem łaskawie. – Posiedzimy w domu.

Wreszcie zaczęła zostawać u mnie na noc i jadaliliśmy razem śniadanie. Spotykaliśmy się raz albo dwa razy na tydzień, a Carolyn, nawet po incydencie z tamponem, nie wytropiła istnienia Consueli. Lecz jeśli idzie o mnie, to nie zaznałem przy Consueli spokoju: ani na chwilę nie zapomniałem o tych pięciu chłopakach, z którymi sypiała, zanim poznała mnie – dwaj z nich byli rodzonymi braćmi: z jednym chodziła jako osiemnastolatka, z drugim dwa lata później. Fakt, że byli to Kubańczycy, synowie bogatego rodu Villareal z Bergen County, stanowił dodatkową przyczynę mojej udręki. Gdyby nie kojący wpływ Carolyn i nasze cudowne wspólne noce, nie wiem, jak bym to wszystko wytrzymał.

Niepokój bycia z Consuelą – w przeciwieństwie do niepokoju niebycia z Consuelą – mijał dopiero, gdy uzyskała ona tytuł magisterski i wydała z tej okazji przyjęcie w domu rodziców. Oczywiście, najlepszym rozwiązaniem dla nas obojga był koniec romansu, czego ja jednak nie brałem pod uwagę, więc wpadłem w czarną rozpacz. Depresja dręczyła mnie falami przez blisko trzy lata. Każda chwila spędzona z Consuelą była torturą, lecz każda chwila po jej stracie była torturą stokroć większą. Nastał dla mnie paskudny czas, który nie chciał mijać. George O'Hearn stanął wtedy na wysokości zadania. Przegadał ze mną mnóstwo wieczorów, gdy byłem w najgorszym dołku. No i miałem fortepian – on też pomógł mi przetrwać.

Mówiłem ci już, że przez lata nakupowałem masę nut, utworów na fortepian, więc siedziałem i grałem cały czas po skończeniu innych zajęć. Odtwarzałem w tym czasie wszystkie trzydzieści dwie sonaty Beethovena, co do nutki, żeby wypędzić Consuelę ze swych myśli. Nikogo nie zmuszałbym do wysłuchania taśmy z nagraniem tych recitali – taka taśma zresztą nie istnieje. Fragmentami grałem w tempie, fragmentami nie, ale to mnie wcale nie zrażało. Dziwne, bo dziwne, ale takie sobie znalazłem zajęcie. Muzyka na instrumenty klawiszowe daje wykonawcy poczucie odtwarzania działań kompozytora, a więc i utożsamienia się z nim do pewnego stopnia. Co prawda, nie w tym najbardziej tajemniczym miejscu, gdzie muzyka się poczyna – ale mimo wszystko nie jest to tylko bierne przyswajanie doznania estetycznego. Grając utwór, stwarza się go niejako, w miarę swoich niezdarnych możliwości – a ja tym właśnie sposobem próbowałem uciec przed utratą Consueli. Grałem sonaty Mozarta. Grałem utwory fortepianowe Bacha. Wykonuję je, znam je – co, oczywiście, nie jest równoznaczne z dobrą grą. Grałem muzykę elżbietańską, Byrda i innych. Grałem Purcella. Grałem Scarlattiego. Mam cały komplet sonat Scarlattiego, pięćset pięćdziesiąt

sztuk. Nie mówię, że wykonałem wszystkie, ale bardzo wiele. Grałem Haydna. Znam go już na pamięć. I Schumanna. I Schuberta. A uczyłem się, jak już wspomniałem, bardzo krótko. Ale był to dla mnie czas nieznośny, czas jałowy, i miałem do wyboru: albo ćwiczyć Beethovena, utożsamiając się z jego umysłem, albo tkwić w umyśle własnym, który w kółko odtwarzał zapamiętane sceny z udziałem Consueli i – co było najgorsze – przypominał mi, jak nieopatrznie nie poszedłem na jej przyjęcie dyplomowe.

Bo rzecz w tym, widzisz, że ja nigdy do końca nie rozgryzłem, jak dalece Consuela jest zwyczajną dziewczyną. Najpierw wyciąga dla mnie tampon, a potem zrywa ze mną, bo nie przyszedłem na jej przyjęcie dyplomowe? Łatwość, z jaką położyła kres tak potężnemu żywiołowi, jest dla mnie niepojęta. Łatwość i gwałtowność tego końca. Odtwarzam go w pamięci i myślę, że znam sekret owej gwałtowności: Consuela nie miała już ochoty na dalszy ciąg. Dlaczego? Ponieważ mnie nie pragnęła, nigdy mnie nie pragnęła, eksperymentowała ze mną tylko po to, żeby sprawdzić, ile potrafi działać jej biust. Sama jednak nie otrzymywała ode mnie tego, czego chciała. To otrzymywała od braci Villareal. Oczywiście. Wszyscy jej faceci byli na przyjęciu, tłoczyli się, kręcili wokół niej, smagli, przystojni, muskularni, dobrze ułożeni, młodzi – i nagle Consuela uświadomiła sobie: Co ja właściwie robię z tym starym dziadem? Więc miałem rację od samego początku – czyli słusznie, że się skończyło. Consuela doszła ze mną tak daleko, jak chciała. Przeciagając romans na siłę, skazałbym się tylko na dodatkowe tortury. Postąpiłem więc najmądrzej, jak można: nie poszedłem na imprezę. Bo wcześniej ulegałem i ulegałem bez końca, w sposób dla siebie samego niepojęty. Bolesna tęsknota nie opuszczała mnie nigdy, nawet u jej boku. Moim głównym uczuciem, jak już wspomniałem, była tęsknota. I nadal jest to tęsknota. Nie mam chwili wytchnienia od tej tęsknoty i poczucia, że jestem petentem. W tym cały problem: boli, kiedy z nią jesteś, i boli, kiedy jesteś bez niej. Więc kto zerwał? Czy ja, nie idąc na imprezę, czy ona, wykorzystując argument mojej nieobecności? Nieustannie spierałem się o to sam z sobą. Aby przerwać ciągły korowód myśli wokół utraty Consueli – aby fałszywie nie wyolbrzymić pojedynczego incydentu, przyjęcia dyplomowego, jako klucza do własnej porażki – często musiałem wstawać w środku nocy i aż do świtu bębnić w klawisze.

A stało się tylko to, że Consuela zaprosiła mnie do Jersey na oblewanie dyplomu, które oczywiście przyjąłem, ale przejeżdżając przez most, pomyślałem sobie: Tam będą jej rodzice, dziadkowie, kubańscy krewni, starzy przyjaciele z dzieciństwa, ci słynni bracia też, a ja zostanę

przedstawiony jako pan wykładowca, który występuje w telewizji. Zbyt groteskowe wydało mi się udawanie po minionym półtora roku, że jestem dla tej młodej damy jedynie dobrotliwym mentorem – zwłaszcza w obecności cholernych braci Villareal. Za stary byłem na takie komedie, więc zatrzymałem się na moście po stronie Jersey, zadzwoniłem do Consueli i powiedziałem jej, że samochód mi się popsuł i nie dojadę. Kłamstwo grubymi nićmi szyte – miałem niespełna dwuletniego porsche. No i jeszcze tego samego wieczoru Consuela przysłała mi faksem list z domowego aparatu w New Jersey, nie najzjadliwszy list, jaki w życiu dostałem, ale świadczący o braku kontroli, o jaki nigdy Consueli nie podejrzewałem.

Ale ja przecież w ogóle nie miałem o niej wyobrażenia. A ile wiedzy na jej temat traciłem, zaślepiony obsesją? Krzyczała na mnie w liście: „Zawsze zgrywasz starego mędrca, który wszystko wie”. Krzyczała: „Widziałam cię dziś rano w telewizji w roli wszechwiedzącego: wiesz, co jest dobre w kulturze, a co złe, co ludzie powinni czytać, a czego nie powinni, znasz się jak nikt na muzyce i sztukach plastycznych, a kiedy ja chcę uczcić ważny moment w swoim życiu, wydać ekstra przyjęcie i mieć cię przy sobie, bo jesteś dla mnie najważniejszy – ciebie nie ma”. Zdażyłem jej już posłać prezent, kwiaty – mimo to szalała ze złości... „Zadufany, Przemądrzały Pan Krytyk, wielki autorytet od wszystkiego, wszystkich poucza, co należy myśleć, i przywołuje do porządku! *Me da asco!*”

Tym zakończyła. Przedtem nigdy, nawet w odruchu czułości, nie pozwoliła sobie wobec mnie na użycie hiszpańskiego. *Me da asco*. Potoczny idiom o znaczeniu: „Rzygać mi się chce”.

To historia sprzed sześciu i pół roku. Dziwne jest to, że trzy miesiące później dostałem kartkę od Consueli, z ekskluzywnego kurortu w którymś z krajów Trzeciego Świata – Belize, Honduras, coś w tym stylu – utrzymaną w tonie całkiem przyjaznym. A gdy minęło następne pół roku, zadzwoniła do mnie. Starła się o pracę w reklamie, za co, jak stwierdziła, pewnie nabiorę do niej obrzydzenia, ale czy mimo wszystko mógłbym napisać jej rekomendację? Jako były profesor? Więc napisałem. Potem znów przysłała kartka (akt Modiglianiego z Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku), z informacją, że pracę dostała i bardzo się cieszy. I na tym koniec. Pewnej nocy znalazłem jej nazwisko w nowej książce telefonicznej Manhattanu, wraz z adresem na Upper East Side, gdzie widocznie ojciec kupił jej apartament. Ale próba powrotu była kiepskim pomysłem, więc jej nie podjąłem.

Jeden George mnie nie opuścił. George O'Hearn, chociaż piętnaście lat ode mnie młodszy, stał się moim świeckim spowiednikiem. Przez półtora roku romansu z Consuelą był mi najbliższym przyjacielem i dopiero później przyznał się, jak bardzo martwił się o mnie, obserwując, jak zatracam swój zwykły realizm, pragmatyzm, cynizm, opętany jedną tylko myślą: żeby jej nie stracić. To on nie pozwolił mi odpisać na kartkę Consueli, chociaż bardzo chciałem, wmawiając sobie, że zaprasza mnie do tego cienka kibić, szerokie biodra, łagodna krzywizna ud, płomień włosów w miejscu wyznaczającym rozwidlenie całej postaci – znak firmowy Modiglianiego, akt przyzwalającej, wysmukłej dziewczyny marzeń, którą artysta malował z rytualną uporczywością, a którą Consuela bezwstydnie przysłała mi na odkrytej pocztówce przez pocztę Stanów Zjednoczonych. Nagą dziewczynę, której piersi – pełne i skierowane lekko na boki – wyglądały jak wzorowane na piersiach Consueli. Nagą dziewczynę z zamkniętymi oczami, broniącą się – jak Consuela – jedynie siłą własnego erotyzmu i – znów jak Consuela – prymitywnie naturalną, a zarazem elegancką. Złotoskórą nagość, niezrozumiale uśpioną w aksamitnej czarnej otchłani, którą ja, w swoim specyficznym nastroju, utożsamiałem z grobem. Postać o wydłużonej, falującej linii, która leży i czeka na ciebie, nieruchoma jak śmierć.

George zniechęcał mnie nawet do wypisania rekomendacji dla Consueli.

– Zawsze będziesz bezbronny wobec tej dziewczyny – argumentował. – Nigdy nie zdobędziesz nad nią kontroli. Jest w niej coś, co przyprawia cię, i zawsze będzie przyprawiać, o szaleństwo. Jeśli raz na zawsze nie zerwiesz z nią kontaktu, to coś zniszczy cię do szczytu. Ty przy niej już nie reagujesz na naturalną potrzebę. To czysta patologia. Spójrz na to okiem krytyka, spójrz z profesjonalnego punktu widzenia. Pogwałciłeś prawo dystansu estetycznego. Przesentymentalizowałeś doznanie estetyczne tej dziewczyny – spersonalizowałeś je, zamieniłeś w uczucie i zatraciłeś poczucie separacji niezbędne dla przyjemności. Wiesz, kiedy to się stało? Tej nocy, gdy wyjęła tampon. Nieodzowna odrębność estetyczna ulotniła się nie w momencie, gdy obserwowałeś jej krwawienie – to było jeszcze okej, to było w porządku – tylko wtedy, gdy straciłeś opanowanie i padłeś na kolana. Co cię, cholera jasna, do tego skłoniło? Czym wytłumaczyć komedię sytuacji, w której młoda Kubanka kładzie na matę takiego faceta jak ty, profesora pożądania? Tym, że piłeś jej krew? Moim zdaniem, tu właśnie dokonało się porzucenie niezależnej pozycji krytyka, Dave. Czcij mnie – nakazuje ona – czcij misterium krwawiącej bogini. A ty to robisz. Nie wzdragasz się przed niczym. Liżesz jej krew. Konsumujesz ją. Trawisz. To ona penetruje ciebie. A dalej co,

Davidzie? Szklanka jej moczu? Niedługo pewnie zaczniesz zebrac o fekalia? Nie sprzeciwiam się temu ze względów higienicznych. Ani dlatego, że to obrzydliwe. Sprzeciwiam się temu, bo to oznacza miłość. Tę jedyną przez wszystkich upragnioną obsesję: „miłość”. Ludziom się zdaje, że zakochując się, uzyskują pełnię? Platoniczne zjednoczenie dusz? Szczerze wątpię. Uważam, że właśnie do tego momentu trwamy w pełni. Miłość powoduje w nas pęknięcie. Byłeś całością – i nagle pękasz, otwierasz się. Ona była tym obcym ciałem wprowadzonym w twoją pełnię. A ty przez półtora roku usiłowałeś to obce ciało przyswoić. Ale nigdy nie odzyskasz pełni, dopóki go z siebie nie wyrzucisz. Albo się go pozbędziesz, albo wchłoniesz je przez własne wynaturzenie. I to właśnie uczyniłeś, i to doprowadziło cię do obłędu.

Trudno pogodzić się z taką opinią, i to nie tylko z powodu mitologiczno-poetyckiej retoryki George'a – po prostu trudno uwierzyć w zgubny potencjał osoby tak pozornie nieszkodliwej jak przywiązana do rodziny, hołubiona Consuela z przedmieścia. George nie ustępował:

– Przywiązanie rujnuje nas, jest naszym wrogiem. Joseph Conrad: Kto tworzy więzy, jest zgubiony. To absurd, żebyś tu siedział i wyglądał, jak wyglądasz. Zakosztowałeś tego. Nie wystarczy? Wszystkiego można jedynie zakosztować. Tylko to jest nam dane w życiu, tylko to jest nam dane z życia. Posmak. Nic więcej.

George miał słuszość, naturalnie, powtarzał mi jedynie to, co sam wiem. Kto tworzy więzy, jest zgubiony; przywiązanie to nasz wróg. Dlatego uciekłem się do tego, co Casanova zwie „lekarstwem sztubaka” – do masturbacji. Wyobrażałem sobie, że siedzę przy fortepianie, a ona stoi naga obok mnie. Stworzyliśmy kiedyś takie tableau, więc nie tyle je sobie wyobrażałem, ile wspominałem. Poprosiłem ją, aby zdjęła ubranie i dała mi patrzeć na siebie, gdy będę grał sonatę c-moll Mozarta – a ona się zgodziła. Nie sądzę, żebym grał dzięki temu lepiej niż zwykle, ale nie o to chodziło. W innej nawracającej fantazji mówię do niej:

– To jest metronom. Błyska światłem i tyka regularnie. Nic więcej nie robi. Tempo można regulować, jak się chce. Nie tylko tacy jak ja amatorzy, ale i profesjonaliści mają problem z bezwiednym przyspieszaniem.

I znów widzę ją stojącą przy fortepianie z ubraniem rzuconym u stóp, właśnie tak jak owej nocy, gdy grałem sonatę c-moll, uwodząc jej nagość w zwolnionym tempie. (Czasami nawiedzała mnie we śnie jak szpieg, pod kryptonimem „K 457”).

– Jest to metronom kwarcowy – tłumaczę. – Nie w znanym ci, być może, kształcie trójkąta z wahadłem zaopatrzonym w mały ciężarek i numerację. Numeracja jest taka sama jak na wahadle...

A gdy ona zbliża się, aby obejrzeć skalę, jej biust napiera, zasłania mi usta i tłum, na chwilę, aspekt pedagogiczny – aspekt pedagogiczny, który jest moją największą siłą wobec Consueli. Moją jedyną siłą.

– Numeracja jest standardowa – wykładam dalej. – Jeśli nastawisz na sześćdziesiątkę, metronom będzie odmierzał sekundy. Właśnie, tak jak serce. Pozwól mi poczuć językiem bicie twojego serca.

Ona pozwala, tak jak pozwala mi na wszystko – bez komentarza, jakby bez własnego udziału. Mówię dalej:

– Przed wynalezieniem metronomu, tego starego, oczywiście, w roku tysiąc osiemset dwunastym, na partyturach nie ma oznaczeń metronomicznych. W traktatach teoretycznych na temat tempa sugerowano, aby puls ludzki traktować jako miarę allegro. „Zmierz własny puls – pisano – i wedle niego przybierz tempo gry”. Pozwól mi dotknąć swego puls czubkiem penisa. Usiądź na mnie Consuelo, i zagramy w twoim tempie. Nie jest to szybkie allegro, prawda? Wcale nie. Musisz wiedzieć, że nie istnieje ani jedna partytura Mozarta z oznaczeniem metronomicznym – a dlaczego? Przypomnij sobie, kiedy zmarł Mozart...

W tym miejscu jednak doznaję orgazmu, lekcja wyobraźni skończona i na chwilę uwalniam się od mdlącej męki pożądania. Czy to Yeats? „Pochłońcie serce moje: chucią chore /I w konającym zwierzęciu zamknięte, /Nie wie, czym jest”. Yeats. Oczywiście. „Tak uwikłane w swój zmysłowy taniec”, i tak dalej.

Grałem Beethovena i onanizowałem się. Grałem Mozarta i onanizowałem się. Grałem Haydna, Schumanna, Schuberta i onanizowałem się z jej obrazem przed oczami. Nie mogłem zapomnieć tych piersi, tych dojrzałych piersi, tych sutków, ani tego, jak umiała ogarnąć piersiami i pieścić mój penis. Jeszcze jeden szczegół. Jeszcze tylko ten jeden i koniec. Wdaję się w detale techniczne, ale to ważne. Właśnie dotyk czynił z Consueli mistrzynię zmysłowości. Jest ona jedną z tych nielicznych znanych mi kobiet, które w momencie szczytowania wydymają wargi sromowe, całkiem bezwiednie, jak miękkie, niepodzielne, napęczniałe, dwu-zastawkowe ciało. Za pierwszym razem byłem zaskoczony. Dotknięcie tego organu daje

poczucie kontaktu z fauną innego świata, stworzeniem z głębin morskich. Stworzeniem pokrewnym ostrydze, ośmiornicy, małtwe – istotom oddalonym od nas o wiele kilometrów w przestrzeni i eony w czasie. Normalnie widać pochwę, można rozewrzeć ją palcami, ale w przypadku Consueli organ ten rozkwitał samoczynnie i suwerennie, wylaniając się z kryjówki. Wewnętrzne wargi uwidaczniały się, pęczniały na zewnątrz – a ten wilgotny, jedwabisty obrzęk jest bardzo podniecający, zarówno dla dotyku, jak i dla oka. Ekstacyjne ujawnienie sekretu. Schiele dałby sobie wyrwać górne kły, żeby móc to odmalować. Picasso zrobiłby z tego gitarę.

Na sam widok jej orgazmu można przeżyć orgazm. W takich chwilach przewracała oczami. Oczy uciekały jej w górę, zostawały tylko białka – widok sam w sobie godzien uwagi. W ogóle cała była godna uwagi. Pał sześć męki zazdrości, upokorzenia i wieczną niepewność – za każdym razem byłem dumny, że doprowadziłem ją do orgazmu. Nieraz mężczyzna nie przejmuje się w ogóle orgazmem kobiety: dzieje się, co ma się dziać, kobieta dba o siebie, nie twoja odpowiedzialność. Z innymi kobietami wystarczy sama sytuacja: wystarczająco dużo w niej podniecenia, które nigdy nie jest kwestionowane. Ale z Consuelą – o tak, z Consuelą cała odpowiedzialność spadała na mnie i zawsze, zawsze była sprawą honoru.

Mam śmiesznego czterdziestodwuletniego syna – śmiesznego przez to, że jest moim synem, uwięzionym w małżeństwie przez moją ucieczkę od małżeństwa, przez wpływ, jaki ten fakt miał na niego, oraz przez uparty bunt przeciwko mojemu życiu osobistemu. Śmieszność jest ceną, którą mój syn płaci za to, że zbyt wcześnie zrobiono z niego Telemacha, heroicznego małego obrońcę porzuconej matki. Ale ja, w czasie swojej trzyletniej nawracającej depresji, byłem tysiącokrotnie śmieszniejszy od Kenny'ego. Co mam na myśli, mówiąc „śmieszny”? Czym jest śmieszność? Dobrowolną rezygnacją z osobistej wolności – oto jej definicja. Jeśli wolność odbierają ci siłą, to jasne, że nie jesteś śmieszny – a jeżeli, to tylko dla człowieka, który ci ją odebrał. Ale każdy, kto oddaje własną wolność, kto umiera z pragnienia oddania jej, wkracza w obszar śmieszności, przywodzącej na myśl najśłynniejsze sztuki Ionesco i stanowiącej odwieczne źródło komedii w literaturze. Człowiek wolny może być z racji swojej wolności szalony, głupi, odpychający, nieszczęśliwy – ale nigdy śmieszny. Ma określony wymiar istnienia. Ja wystarczająco śmieszny byłem już z Consuelą. A co powiedzieć o latach, które spędziłem jako jeniec monotonnego melodramatu jej utraty? Mój syn, ukształtowany przez pogardę dla mojego przykładu, zdecydowany okazać

rozsądek tam, gdzie ja traciłem rozum, niezdolny uwolnić się od kogokolwiek, ze mną włącznie – mój syn może nie rościć sobie pretensji do własnej racji, ale ja chodzę po świecie, dowodząc, że wiem lepiej, a mimo to wsączają się we mnie podstępem obce emocje. Wsącza się zazdrość. Wsącza się przywiązanie. Ten odwieczny problem przywiązania. Nie, nawet seks nie jest wobec niego całkiem czysty i chroniony. I tu następuje moja porażka. Ja, wielki propagator wolnego seksu, nie radzę sobie ani trochę lepiej niż mój syn. Oczywiście, czystość, o jakiej marzy Kenny, nie istnieje – ale i czystość, o jakiej ja marzę, nie istnieje. Kiedy pieprzą się psy, wygląda to na sytuację czystą. Tutaj, myślimy sobie, panuje czysty seks – między zwierzętami. Ale gdyby tak z nimi o tym pogadać, okazałoby się pewnie, że nawet wśród psów trafiają się, w psiej formie, patologie tęsknoty, uwielbienia, zaborczości, może nawet miłości.

To pragnienie. Ten zamęt. Czy nigdy się nie skończy? Chwilami sam nie wiem, czego mi tak bardzo brak. Jej biustu? Jej duszy? Jej młodości? Prostoty jej umysłu? A może jest jeszcze gorzej – może teraz, gdy jestem coraz bliższy śmierci, w głębi duszy pragnę też nie być wolny.

Czas mija. Czas mija. Mam nowe dziewczyny. Mam nowe dziewczyny wśród studentek. Wracają stare kochanki, sprzed dwudziestu, trzydziestu lat. Niektóre wielokrotnie rozwiedzione, inne przez lata tak przejęte karierą zawodową, że nie miały nawet okazji wyjść za mąż. Te, które pozostały samotne, dzwonią do mnie, aby wyżalić się na swych partnerów. Chodzenie z facetem jest wstrętne, związek z facetem – niemożliwy, seks to ryzyko. Faceci są narcystyczni, humorzaści, zwariowani, obsesyjni, dominujący i chamscy, albo superprzystojni, męscy i bezczelnie niewierni, albo zniewieściali, albo zwyczajnie za głupi, albo są impotentami. Dwudziestoparoletnie dziewczyny nie znają tych problemów, bo wciąż bazują na przyjaźniach uniwersyteckich, a szkoła to, jak wiadomo, jeden wielki tygiel – za to kobiety nieco starsze, w połowie trzydziestki, są tak zaabsorbowane pracą zawodową, że, jak stwierdziłem, coraz częściej korzystają w poszukiwaniu mężczyzn z zawodowych swatów. A w pewnym wieku w ogóle przestają spotykać nowych ludzi. Jedna z takich rozczarowanych powiedziała mi: „Wiesz, kim są nowi ludzie, gdy ich poznać z bliska? Tymi samymi starymi ludźmi w maskach. Nie ma w nich nic nowego. To po prostu ludzie”.

Agencje matrymonialne różnią się opłatą członkowską za rok, podczas którego gwarantują klientce poznanie określonej liczby kandydatów. Jedne

liczą sobie kilkaset dolarów, inne kilka tysięcy, a mówiono mi i o takiej, która specjalizuje się w tak zwanym „lepszym towarzystwie” i aranżuje spotkania – do dwudziestu pięciu w ciągu dwóch lat – za minimum dwadzieścia jeden tysięcy dolarów. Myślałem, że się przesłyszałem, ale nie: dwadzieścia jeden kawałków – tyle wynosi opłata. Nie jest lekko kobiecie, która wdaje się w tego typu transakcje, poszukując odpowiedniego kandydata na męża i ojca dzieciom; nic więc dziwnego, że niejedna wpada późnym wieczorem do podstarzałego eks-wykładowcy, aby z nim pogadać i czasami, w ucieczce przed osamotnieniem, zostać na noc. Ta, która odwiedziła mnie ostatnio, próbowała otrząsnąć się z szoku nagłego porzucenia na pierwszej randce, w środku kolacji, przez mężczyznę, którego określiła jako „typ amatora wakacyjnych sportów ekstremalnych, miłośnika przygody, polowania na lwy i surfingu po wzburzonych wodach”.

– Twarda szkoła, Davidzie – wyznała mi. – Bo to nawet nie są randki, tylko rozpaczliwe próby flirtowania. Zacisnęłam zęby i przystałam na agencję matrymonialną. Ale nawet to nie skutkuje.

Elena, dobrotliwa Elena Hrabovsky, przedwcześnie posiwała – kto wie, czy nie z winy agencji matrymonialnej.

– To musi być okropny stres – zauważyłem. – Obcy ludzie, długie chwile milczenia, nawet same rozmowy...

– Uważasz, że to normalna sytuacja dla kobiety sukcesu? – spytała mnie. Elena, widzisz, jest okulistką: awansowała społecznie z najniższych warstw klasy robotniczej tylko i wyłącznie dzięki własnej woli i ambicji. – Życie nas zaskakuje, więc na wszelki wypadek bronimy się przed nim i myślimy: jakoś to będzie. Aż w końcu, wstyd się przyznać, tracimy parę. Trafiają się faceci ponadprzeciętnie atrakcyjni. Wykształceni. W większości z niezłym uposażeniem. Ale mnie nawet tacy nie pociągają – wyznała szczerze. – Dlaczego ja się z nimi tak nudzę? Może dlatego, że sama jestem nudna? Jeden z drugim zajeżdża ekstra bryką. BMW. Po drodze muzyka klasyczna. Potem sympatyczna restauracyjka, a ja siedzę i przez cały prawie czas myślę sobie: Boże, błagam, ja chcę do domu. Chcę mieć dzieci, chcę mieć rodzinę, chcę mieć dom – ciągnęła Elena. – I chociaż emocjonalnie i fizycznie wytrzymuję sześć, siedem, osiem godzin na nogach przy stole operacyjnym, to nie mam już siły na te upokorzenia. Dobrze chociaż, że na niektórych facetach robię jakieś wrażenie.

– To oczywiste. Jesteś specjalistką od siatkówki. Chirurgiem oka. Ratujesz ludzi przed ślepotą.

- Wiem. Ale takie jawne odrzucenie... Nie jestem do tego stworzona.
- Nikt nie jest – zapewniłem ją, ale słaba to była pociecha.
- Staralam się uczciwie – dodała, bliska płaczu. – Przyznasz, że się starałam, Davidzie? Dziewiętnaście spotkań?
- Mój Boże! Staralaś się aż nadto.

Elena była tej nocy kupką nieszczęścia. Siedziała u mnie do świtu, po czym pognęła do szpitala, żeby się ogarnąć. Żadne z nas nie spało zbyt wiele, bo ja wygłaszałem jej wykład o konieczności porzucenia idei stałego partnerstwa, a ona słuchała jak pilna, poważna studentka, która sumiennie notuje każde słowo – taka, jaką niegdyś poznałem na swoich zajęciach. Nie mam jednak pojęcia, czy jej pomogłem. Elena jest inteligentna i niesamowicie pojęta, jednak pragnienie dziecka czyni ją standardowo bezmyślną. Ta idea rozbudza instynkt przedłużenia gatunku, i na tym polega jej żałosny patos, zgoda. Lecz stanowi zarazem filar standardowej bezmyślności: człowiek po prostu robi następny krok. Jakże to prymitywny stan u tak zdolnej osoby jak Elena. Ale ona tak właśnie wyobrażała sobie dorosłość, na długo, długo przedtem, nim sama dorosła, a choroby siatkówki stały się pasją jej życia.

Co jej mówiłem? Czemu pytasz? Czy i tobie potrzebny jest wykład o infantyлизmie trwałego partnerstwa? Jasne, że to infantylnie. Mam na myśli życie rodzinne, zwłaszcza w naszych czasach, gdy etos rodziny w zasadzie kreuja dzieci. A gdy nie ma dzieci, jest jeszcze gorzej. Bo rolę dziecka zaczyna odgrywać infantylny dorosły. Życie w parze i życie rodzinne wydobywają z każdego z partnerów wszystkie infantylnie cechy. Dlaczego muszą noc w noc sypiać w tym samym łóżku? Dlaczego muszą telefonować do siebie pięć razy dziennie? Dlaczego cały czas spędzają razem? To wymuszone wzajemne poszanowanie jest bez wątpienia infantylnie. Nienaturalne. Czytałem niedawno w jakimś piśmie o słynnej parze prezenterów medialnych, którzy są małżeństwem od trzydziestu czterech lat i niezwykłym sposobem opanowali sztukę wzajemnej tolerancji. Małżonek chwalił się dumnie reporterce: „Mamy z żoną powiedzenie, że o zdrowiu związku małżeńskiego świadczy liczba śladów zębów na języku”. W zetknięciu z takimi ludźmi zastanawiam się zawsze: za co spotyka ich taka kara? Trzydzieści cztery lata. Niezbędny do tego masochistyczny rygor musi budzić nabożny lęk.

Mam przyjaciela w Austin, bardzo zdolnego pisarza. Ożenił się młodo, w połowie lat pięćdziesiątych, a kilkanaście lat później wziął rozwód. Jego żona

była przyzwoita kobieta, z którą spłodził trójkę przyzwoitych dzieci – a jednak postanowił wyrwać się na wolność. I wcale nie uczynił tego histerycznie ani głupio. To była kwestia praw człowieka. Dajcie mi wolność albo śmierć. A po rozwodzie zamieszkał sam na wolności i czuł się skrajnie nieszczęśliwy. Więc niebawem ożenił się ponownie, tym razem z kobietą, z którą nie planował potomstwa, zwłaszcza że miała już własne dziecko w wieku studenckim. Życie małżeńskie bez dzieci. Po paru latach szła seksu, naturalnie, minął, lecz mój przyjaciel za czasów pierwszego małżeństwa cudzołożył na prawo i lewo, a w swoim pisarstwie również koncentrował się na seksie. Póki był sam, mógł otwarcie uprawiać to, co czynił skrycie jako małżonek. Ale pozbawiony wędzidła, od pierwszej chwili poczuł się nieszczęśliwy, i to nieszczęśliwy na zawsze. Był wolny, życie stało przed nim otworem, a on nie wiedział, na czym stoi. Wiedział tylko, że musi znaleźć drogę powrotną do stanu, którego wcześniej nie mógł znieść, tym razem rezygnując z logiki małżeństwa dla spłodzenia dzieci, założenia rodziny, i tak dalej. Urok zakazanego owocu? Nie umniejszam go bynajmniej. Małżeństwo to w najlepszym wypadku gwarantowany bodziec do emocjonujących skoków na boki. Tyle że mój przyjaciel potrzebował dla poczucia bezpieczeństwa czegoś solidniejszego niż codzienna dla cudzołożnika komedia piętrenia piramidy kłamstw. Nie w tym celu ożenił się ponownie, chociaż niemal w dzień po ślubie wrócił do dawnych uciech. Problem polega częściowo na tym, że wyemancypowana męskość nie doczekała się nigdy swojego rzecznika ani systemu wychowawczego. Brak jej społecznego statusu, ponieważ ogół nie życzy sobie, by taki status miała. Okoliczności życia mojego przyjaciela sprzyjały jednak penetracji granic indywidualnych uprawnień, chociażby w imię godności ludzkiej. Ale wzajemne poszanowanie, poszanowanie, poszanowanie? Łagodzenie, łagodzenie, łagodzenie? A co drugi dzień marzenie o ucieczce? Nie, to nie jest godny sposób życia dla mężczyzny. Ani też – co powiedziałem Elenie – dla kobiety.

Czy ją przekonałem? Nie wiem. Nie sądzę. A ciebie? Czemu się śmiejesz? Co w tym takiego zabawnego? Mój dydaktyzm? Zgoda: absurdalna strona człowieka nigdy nie pozostawia nas bez wrażenia. Lecz co można na to poradzić? Jestem krytykiem, jestem nauczycielem – dydaktyka to moje przeznaczenie. Historia składa się wyłącznie z argumentów i kontrargumentów. Albo narzucimy własną ideę innym, albo pozwolimy narzucić sobie cudzą. Innego wyjścia nie ma, w tym cały kłopot. Siły przeciwne ścierają się wiecznie, więc kto nie jest niepohamowanym wielbicielem poddaństwa, ten toczy ustawiczną wojnę.

Zrozum, ja jestem nie z tej epoki. Widać to przecież. Słysząc. Osiągnąłem swój cel za pomocą tępego narzędzia. Porwałem się z łomem na życie domowe i na wszystkich, którzy go strzegą. Także na życie Kenny'ego. Nie powinno więc dziwić, że wciąż jestem łomiarzem. Nic też dziwnego, że wytrwały upór czyni ze mnie postać komiczną, kogoś na kształt wioskowego ateisty, przynajmniej w oczach podobnych tobie ludzi współczesnych, którzy nigdy nie musieli walczyć o te sprawy.

A teraz niech śmiech ucichnie, dajmy belfrowi skończyć. Jasne, że przyjemność, doświadczenie i wiek to sprawy, które już nikogo nie obchodzą – prawda? Więc myśl sobie o mnie, co chcesz, ale dosłuchaj do końca.

Ostatnie Boże Narodzenie. Boże Narodzenie 1999 – Tamtej nocy śniłem o Consueli. Byłem sam, miałem sen, że dzieje jej się coś złego, i pomyślałem, że trzeba do niej zadzwonić. Ale kiedy sprawdziłem w książce telefonicznej, jej nazwiska już tam nie było, a wierny naukom George'a nie pozwoliłem sobie na odnowienie dawnych niszczycielskich cierpień i nie napisałem na adres w Upper East Side, znaleziony w spisie numerów przed laty, gdy Consuela dostała pierwszą pracę. A tydzień później, w sylwestra, znów byłem sam: siedziałem w swoim salonie bez dziewczyny, bo postanowiłem tę noc spędzić przy fortepianie, rozmyślnie ignorując obchody milenijne. Pod warunkiem, że nie zżera nas tęsknota, samotne życie potrafi być nie lada przyjemnością, i tej właśnie przyjemności zamierzałem oddać się owej nocy. Automatyczna sekretarka była włączona; zresztą w żadnych okolicznościach nie odbieram telefonów, tylko słucham, kto dzwoni. A tej nocy szczególnie nie miałem najmniejszej chęci wysłuchiwać czyichkolwiek życzeń z okazji roku dwutysięcznego. Dlatego gdy zadzwonił telefon, grałem dalej, aż uświadomiłem sobie, że słyszę jej głos.

– Halo, David? To ja. Consuela. Dawno nie rozmawialiśmy i dziwnie mi do ciebie dzwonić, ale chciałabym ci coś powiedzieć. I to osobiście, zanim dowiesz się od kogoś innego. Albo usłyszysz gdzieś przypadkiem. Jeszcze zadzwonię. Na wszelki wypadek podaję numer telefonu komórkowego.

Wysłuchałem tego nagrania w odrętwieniu. Nie podniosłem słuchawki, a zanim przyszło mi to do głowy, było za późno. O Boże, pomyślałem, coś jej się stało. To przez śmierć George'a naszły mnie takie czarne myśli o Consueli. Tak, George umarł. Nie widziałeś nekrologu w „Timesie”? George O'Hearn zmarł pięć miesięcy temu. Zostałem bez najbliższego przyjaciela. Właściwie nie mam już przyjaciół płci męskiej. Śmierć tak bliskiego kompana jak

George to wielka strata. Jasne, mam kolegów, z którymi widuję się w pracy i prowadzę zdawkowe rozmowy, ale ich życie rządzi się regułami tak odmiennymi od moich, że trudno o swobodną wymianę myśli. W kwestiach życia osobistego brak nam wspólnego języka. George stanowił całe moje męskie środowisko – pewnie dlatego, że klasa mężczyzn, do której przynależymy, jest bardzo nieliczna. Ale wystarczy jeden towarzysz broni, nie trzeba mieć po swojej stronie całego społeczeństwa. Przekonałem się, że większość znanych mi mężczyzn – zwłaszcza tych, którzy spotkali mnie gdzieś przypadkowo z którąś z moich młodych panienek – albo osądza mnie krytycznie w duchu, albo otwarcie głosi umoralniające kazania. Jestem, ich zdaniem, „człowiekiem ograniczonym” – tak mówią ci, którzy nie są ograniczeni. Kaznodzieje wściekają się, gdy nie dostrzegam słuszności ich argumentów. Jestem, ich zdaniem, „zakłamany” – tak mówią ci, którzy nie są zakłamani. A ci, którzy sami się męczą, w ogóle nie chcą mnie znać. Żonaci nigdy mi się nie zwierniają. Z nimi nie mam za grosz porozumienia. Może spowiadają się sobie nawzajem – ale nie wiem, czy w dzisiejszych czasach męska solidarność sięga tak daleko. Ich heroizm polega nie tylko na stoickiej akceptacji codziennych wyrzeczeń, ale i na skrupulatnym kreowaniu fałszywego obrazu własnego życia. A ich życie prawdziwe, nieskrywane, dostępne jest tylko dla psychoterapeuty. Nie będę się upierał, że wszyscy oni traktują mnie jak wroga i źle mi życzą z powodu trybu życia, jaki wiode, ale z całą pewnością stwierdzić można, że nie budzę powszechnego uwielbienia. Od śmierci George'a solidaryzuję się już wyłącznie z kobietami w typie Eleny, które niegdyś były moimi kochankami. Nie są w stanie zastąpić mi George'a, ale przynajmniej nie okazują, że wymagam od nich nadmiernej tolerancji.

Ile miał lat? George? Pięćdziesiąt pięć. Wylew. Dostał wylewu. Byłem przy tym. Podobnie jak około ośmiuset innych osób. W centrum kulturalnym Ninety-Second Street Y. W sobotni wrześniowy wieczór. George miał czytać na spotkaniu autorskim. Właśnie zapowiadałem go z mównicy. Siedział na krześle za kulisami, tuż za sceną, słuchał mojej prezentacji i z aprobatą kiwał głową. Długaśne, cienkie nogi, w wąskich nogawkach karawaniarskiego garnituru, wyciągnął daleko przed siebie – pocziwy George z garbatym nosem, chudy niczym drucziany wieszak, wyglądał w tym garniturze jak czarny Irlandczyk. Wylew musiał nastąpić, jeszcze gdy George siedział, z sześcioma tomikami wierszy na kolanach, oczekując chwili, w której wyjdzie na scenę i, odziany w lśniącą czerń, oczaruje publiczność do cna. Bo kiedy na sali rozległy się oklaski, poderwał się i padł jak długi,

przewracając krzesło na siebie. Dzieło jego życia rozpierzchnęło się po podłodze. Lekarze nie dawali mu szans na wyjście ze szpitala. A jednak gdy spędził tam jeszcze tydzień, nie odzyskując przytomności, rodzina zabrała go do domu, gdzie wkrótce zmarł.

W domu też na ogół leżał nieprzytomny. Lewa strona ciała sparaliżowana. Struny głosowe sparaliżowane. Spora część mózgu obumarła. Syn George'a, Tom, jest lekarzem i nadzorował umieranie ojca, które trwało jeszcze dziewięć dni. Odłączyli mu kroplówkę, zdjęli cewnik, nie podawali żadnych środków. Gdy tylko otwierał oczy, podpierali go na poduszkach, poili odrobiną wody i wkładali do ust kawałeczki lodu, żeby possał. Poza tym dbali tylko, żeby było mu w miarę wygodnie, gdy w morderczo powolnym tempie osuwał się w śmierć.

Popołudniami, pod koniec każdego dnia, jechałem do Pelham zobaczyć George'a. Rodzinę zakotwiczył w Pelham, aby samemu, przez lata prowadzenia zajęć w New School, mieć wolną rękę na Manhattanie. Na podjeździe pod jego domem zastawałem już zwykle z pięć albo sześć zaparkowanych samochodów. Dzieci dyżurowały przy ojcu na zmianę, często razem z którymś z wnuków. Była też pielęgniarka, a pod sam koniec także ktoś z hospicjum. Kate, żona George'a, czuwała, oczywiście, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wchodziłem do sypialni, gdzie zainstalowano szpitalne łóżko, brałem go za rękę, po tej stronie ciała, gdzie zachował jeszcze resztki czucia, i siedziałem tak przez piętnaście czy dwadzieścia minut, ale George był stale nieprzytomny. Oddychał ciężko. Pojękiwał. Sprawna noga od czasu do czasu targał skurcz, lecz nic więcej się nie działo. Gładziłem go po włosach, dotykałem policzka, ścisnąłem palce, nie wywołując jednak żadnej reakcji. Siedziałem tak w nadziei, że George się ocknie i rozpozna mnie – po czym wracałem do domu. Aż pewnego popołudnia przyjechałem znów i oznajmiono mi, że stało się: George odzyskał przytomność. Proszę wejść -powiedziano.

Posadzili George'a wspartego o poduszki, na do połowy uniesionym łóżku. Córka Betty karmiła go lodem. Rozgryzała lodowe tafelki i ich okruchy wtykała ojcu w usta. George usiłował miażdżyć je czynną jeszcze stroną szczęki. Wyglądał bardzo marnie, był straszliwie wychudzony, ale oczy miał otwarte i widać było, że całą resztką woli skupia się na ssaniu lodu. Od drzwi obserwowała go Kate – imponująca siwowłosa dama, wzrostem dorównująca prawie George'owi, lecz masywniejsza niż dawniej, i znacznie bardziej zmęczona. Aż po znacznie zaawansowany wiek średni Kate była atrakcyjnie pulchną, trzeźwą, odporną kobietą, promieniującą niezłomną

serdecznością. Ta kobieta, która nigdy nie cofała się przed rzeczywistością, wyglądała teraz na kompletnie wykończoną, jakby stoczyła swoją ostatnią batalię i przegrała.

Tom przyniósł z łazienki wilgotny ręcznik.

– Chcesz się odświeżyć, tato? – zagadnął.

– Jest z nim jakiś kontakt? – spytałem Toma. – Rozumie coś?

– Miewa przebłyski czegoś na kształt zrozumienia. Krótkotrwałe.

– Od jak dawna jest przytomny?

– Jakies pół godziny. Podejź do niego, Davidzie. Zagadaj. Ludzkie głosy wyraźnie sprawiają mu frajdę.

Frajdę? Dziwne słowo. Ale Tom w każdej sytuacji pozostaje jowialnym doktorkiem. Podeszedłem do George'a od niesparalizowanej strony, gdy Tom przecierał mu twarz wilgotnym ręcznikiem. Nagle George, ku zdziwieniu obecnych, wyrwał mu ręcznik sprawną ręką, zacisnął w garści i wpakował sobie do ust.

– Jest strasznie odwodniony – powiedział ktoś z boku.

George zwilżył jamę ustną końcem ręcznika, po czym zaczął go ssać. Gdy go wyciągnął, na ręczniku coś tkwiło. Wyglądało jak miękki fragment podniebienia. Betty jęknęła ze zgrozy, ale pracownica hospicjum, która też była w pokoju, poklepała ją po plecach i uspokoiła:

– To nic takiego. Ma bardzo przesuszoną śluzówkę, to po prostu drobny płatek ciała.

Usta miał wykrzywione w bok i półotwarte, bezwolne usta umierającego, ale oczy patrzyły trzeźwo i było w nich nawet coś z dawnego George'a – George'a, który się jeszcze nie poddał. Jak wyszczerbiona, chwiejna ściana po bombardowaniu. Z tą samą wściekłą siłą, z którą pochwycił ręcznik, ściągnął teraz z siebie kołdrę i zaczął szarpać plaster w rogu pampersa, jakby chciał go wyrwać, odsłaniając przy okazji żałosne patyki, które były niegdyś jego nogami. Wolframowe druciki w przepalonej żarówce wyglądają podobnie – takie miałem skojarzenie. Wszystko, co pozostało w George'u z krwi i ciała, przypominało mi teraz obiekty nieożywione.

– Nie, nie – zaprotestował Tom. – Zostaw, tato. Tak jest dobrze.

Ale George nie usłuchał. Szarpał wściekle dalej, bezskutecznie próbując pozbyć się pampersa. Skapitulował wreszcie, jęknął głucho i uniósł rękę, wskazując na Betty.

– O co chodzi, tato? – spytała. – Nie rozumiem. Czego chcesz? Czego chcesz, kochany?

George wydawał z siebie niezrozumiałe pomruki, ale z gestów jednoznacznie wynikało, że prosi Betty, by podeszła jak najbliżej. Gdy to uczyniła, wyprężył ramię, objął ją, przyciągnął ku sobie i pocałował w usta.

– Tak, tak, tatusiu – powiedziała Betty. – Tak, jesteś najlepszym ojcem, najlepszym na świecie.

Zdumiewająca była moc fizyczna, jaka w nim wezbrała po tylu dniach leżenia nieruchomo i postępującego wycieńczenia, ujawniając się, gdy na pozór już ledwo dyszał – ta siła, z którą przyciągnął ku sobie Betty i dzięki której usiłował coś powiedzieć. Może, pomyślałem sobie, nie powinni go skazywać na śmierć? Może tli się w nim więcej życia, niż sądzili? Może on to właśnie chce nam teraz zakomunikować? Może zamiast mówić: „Żegnajcie”, mówi: „Nie pozwólcie mi odejść. Ratujcie mnie wszelkimi siłami”? Potem George wskazał na mnie.

– Cześć, George – powiedziałem. – Czołem, przyjacielu. To ja, David.

A gdy do niego podszedłem, chwycił mnie tak jak przedtem Betty i też ucałował w usta. Nie cuchnął śmiercią, nie poczułem mdlącego odoru ani w ogóle żadnego zapachu – tylko ciepły, bezwonny oddech, czystą woń istnienia, i dotknięcie spieczonych warg. Ucałowaliśmy się z George'em po raz pierwszy w życiu. Stęknął znowu i wskazał z kolei na Toma. A zaraz potem na własne stopy, wystające spod kołdry na skraju łóżka. A gdy Tom, sądząc, że ojciec prosi, by mu okryć nogi, zaczął poprawiać pościel, George stęknął głośniejszym głosem i ponownie wskazał stopy.

– Chce, żebyś pottrzymał go za stopy – powiedziała Betty.

– W jednej przecież nie ma nawet czucia – zauważył Tom.

– To potrzyмай drugą.

– Okej, tato, już wiem, już rozumiem – rzekł Tom i zaczął cierpliwie uciskać tę stopę, w której czucie się zachowało.

Następnie George wskazał na drzwi, w których stała obserwująca wszystko Kate.

– On cię woła, mamó – powiedziała Betty.

Usunąłem się na bok i Kate zajęła moje miejsce przy łóżku. George wyciągnął zdrowe ramię, przygarnął ją do siebie i ucałował równie mocno, jak Betty i mnie. Kate odwzajemniła pocałunek. Potem pocałowali się raz jeszcze, długo i, rzekłbym, namiętnie. Kate przymknęła nawet oczy. A jest to wyjątkowo niesentymentalna i trzeźwa osoba – nigdy w życiu nie widziałem u niej takiego dziewczęcego odruchu.

Tymczasem sprawna ręka George'a osunęła się z pleców żony ku jej prawej dłoni. George wyraźnie manipulował przy guziku na mankiecie bluzki Kate. Próbował go rozpiąć.

– George – szepnęła czule Kate, jakby lekko rozbawiona. – Georgie, Georgie...

– Pomóż mu, mamó. On chce rozpiąć guzik.

Kate z uśmiechem spełniła instrukcję przejętej córki i rozpięła mankiet, ale George szarpał już guzik przy drugim, więc posłusznie rozpięła i ten. A George przez cały czas garnał się chciwie do jej ust. Kate głaskała jego zmaltretowaną twarz, tę nieskończenie samotną, zapadniętą twarz, co chwila całując domagające się tego usta. Nagle George sięgnął do guzików na przodzie bluzki żony i zaczął przy nich gmerać.

Jego plan był oczywisty: rozebrać Kate. Rozebrać kobietę, której – jak wiedziałem ja, i dzieci na pewno też – nie tknął w łóżku od lat. Której na dobrą sprawę w ogóle już nie dotykał.

– Zgódź się, mamó – podpowiedziała Betty.

Więc Kate ponownie usłuchała córki i wolną ręką pomogła George'owi rozpiąć bluzkę. Pocałowali się znów, i tym razem George ścisnął kurczowo skraj obszernego biustonosza żony. Aż nagle przestał. Siły znienacka go opuściły i nie zdołał już dosięgnąć ciężkiego biustu Kate. Nie umarł jeszcze przez następne dwanaście godzin, ale gdy opadł na poduszki, z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami, dysząc jak biegacz na mecie, zrozumieliśmy wszyscy, że oto byliśmy świadkami ostatniego zdumiewającego zrywu życia George'a.

Kiedy się wreszcie pożegnałem, Kate wyszła na werandę i odprowadziła mnie przez cały podjazd aż do samochodu. Ujęła obie moje dłonie i podziękowała za odwiedzinę.

– Cieszę się, że mogłem to zobaczyć – powiedziałem.

– Tak, to było fantastyczne, prawda? – odparła. I ze znużonym uśmiechem dodała: – Ciekawe, kogo sobie wyobrażał na moim miejscu.

No więc George nie żył od paru miesięcy i kiedy Con-suela nagrała mi wiadomość – „Chciałabym ci coś powiedzieć. I to osobiście, zanim dowiesz się od kogoś innego” – przeraziłem się, jak już wspomniałem, że tym razem coś złego spotkało ją. Taka historia – senne proroctwo potwierdzone zdarzeniem – robi wrażenie, nawet gdy rozgrywa się we śnie, a co dopiero na jawie. Nie wiedziałem, co robić. Oddzwonić? Rozwazałem to przez kwadrans. W końcu nie oddzwoniłem – ze strachu. Dlaczego do mnie zatelefonowała? O co tu może chodzić? Wiodeę teraz życie beztroskie, odzyskałem nad nim kontrolę. Czy jednak jestem uodporniony na Consuelę i jej agresywną uległość? Nie mam już sześćdziesięciu dwóch lat – mam siedemdziesiąt. Czy w tym wieku zniosę nawrót maniackiej niepewności? Czy odważę się popaść z powrotem w ten obłądny trans? Czy nie ucierpi na tym moja długowieczność?

Przypomniało mi się, jak przez trzy lata po utracie Consueli myślałem o niej stale, nawet idąc nocą po omacku do łazienki, żeby się wysikać: nawet o czwartej nad ranem, gdy stałem nad sedesem w siedmiu ósmym uśpieniu, jedna ósma (według Kepesha) przebudzonej świadomości kazała mi mamrotać jej imię. Stary facet, który wstaje w nocy oddać mocz, normalnie nie myśli o niczym. A jeśli już o czymkolwiek, to o powrocie do łóżka. Ale nie ja, nie w tamtym okresie. „Consuela, Consuela, Consuela” – i tak za każdym razem. Weź przy tym pod uwagę, że uczyniła mi to bez słów, bezwiednie, bez podstępnych sztuczek, bez śladu złej woli – i bez najmniejszej troski o przyczyny i skutki. Jak wybitny lekkoatleta, jak wyidealizowane dzieło sztuki rzeźbiarskiej, jak zwierzę przez mgnienie oka dostrzeżone w lesie, jak Michael Jordan, jak Maillol, jak sowa, jak ryś – uczyniła to przez czystą prostotę fizycznego splendoru. Nie było w Consueli ani cienia sadyzmu. Nawet sadyzmu zobojętnienia, który często towarzyszy tak wielkiej kumulacji doskonałości. Jej prostolinijność i dobre serce wykluczały takie okrucieństwo. Więc wyobraź sobie, co by ze mną zrobiła, gdyby dobre wychowanie nie powstrzymywało jej przed wykorzystaniem naturalnych walorów i siły Amazonki aż do ostatnich granic; wyobraź sobie, co by było, gdyby miała nie tylko mentalność Amazonki, ale i makiaweliczną świadomość własnego oddziaływania. Na szczęście, jak większość ludzi, nie nawykła do wnikliwych rozważań, więc dokonawszy tego, co zaszło między nami, nigdy do końca nie pojęła, co się właściwie stało. Gdyby to rozumiała i

gdyby na dodatek miała najmniejszą choćby skłonność do torturowania mężczyzn palonych ogniem namiętności, to byłoby już po mnie – pokonałby mnie z kretesem mój własny Biały Wieloryb.

Ale oto była z powrotem. Nie, kategorycznie nie! Nigdy więcej takich zamachów na spokój mojego ducha!

Zaraz jednak pomyślałem sobie: ona mnie szuka, potrzebuje mnie, nie jako kochanka, nie jako profesora, nie dla podjęcia na nowo naszej opowieści erotycznej w kolejnym odcinku. Oddzwoniłem więc na jej komórkę i skłamałem, że wyskoczyłem do sklepu i dopiero wracam, na co ona odparła:

– Jestem w samochodzie. Stałam pod twoim domem, nagrywając wiadomość.

– Ale dlaczego jeździsz w sylwestra po Nowym Jorku?

– Sama nie wiem, co robię.

– Ty płaczesz, Consuelo?

– Nie, jeszcze nie.

– Dzwoniłaś domofonem? – spytałem.

– Nie, nie miałam odwagi.

– Zawsze możesz zadzwonić do moich drzwi, zawsze. Wiesz o tym. Co się stało?

– Jesteś mi potrzebny natychmiast.

– To przyjeżdżaj.

– Masz czas?

– Dla ciebie zawsze mam czas. Czekam.

– To ważna sprawa. Zaraz przyjadę.

Odłożyłem słuchawkę, nie wiedząc zupełnie, czego mam się spodziewać. Jakieś dwadzieścia minut później pod mój dom zajechał samochód, a ledwie Consuela stanęła w drzwiach, wiedziałem, że coś jest niedobrze. Bo miała na głowie czapkę przypominającą fez. Dawniej nigdy by czegoś takiego nie włożyła. Jej kruczoczarne, lśniące włosy były zawsze zadbane, świeżo umyte, wyszczotkowane, ułożone – co dwa tygodnie chodziła do fryzjerki. Teraz jednak stała przede mną w fezie na głowie. Za to płaszcz

miała stylowy, czarny, prawie do ziemi, z perskiej jagnięcej wełny, ściągnięty paskiem, a gdy rozpięła pasek, poznałem pod spodem jedwabną bluzkę z dekoltem – coś pięknego. Więc uściskaliśmy się na powitanie, pomogłem jej zdjąć płaszcz i spytałem:

- A kapelusik? A fez?
- Lepiej nie – odparła. – Za bardzo byś się zdziwił.
- Czemu?
- Bo jestem ciężko chora.

Przeszliśmy do salonu, gdzie znów ją przytuliłem, a ona przyłgnęła do mnie całym ciałem. I po dawnemu czuję dotyk jej piersi, tych pięknych piersi, a sponad jej ramienia widzę zarys pięknych pośladków. Widzę to piękne ciało. Consuela jest już po trzydziestce, ma trzydzieści dwa lata, lecz nic nie straciła na urodzie, nawet wyładniała: jej twarz, nieco bardziej teraz pociągła, stała się bardziej kobieca – i nagle słyszę, co ta piękna dziewczyna do mnie mówi:

– Zostałam całkiem bez włosów. W październiku dowiedziałam się, że mam raka. Raka piersi.

– To straszne, to potworne, jak się czujesz, co można z tym zrobić?

Chemioterapię rozpoczęła w listopadzie i bardzo szybko straciła włosy.

– Muszę opowiedzieć ci wszystko od początku – oświadczyła.

– Mów wszystko.

– Moja ciotka, siostra mamy, miała raka sutka, była leczona i odjęto jej pierś. Wiedziałam więc, że jestem w grupie ryzyka. Wiedziałam to od dawna, i zawsze się bałam.

Słuchając jej, myślałem: I to właśnie ty, kobieta z najwspanialszym biustem świata...

– Któregoś ranka – mówiła dalej – stałam pod prysznicem i wyczułam coś pod pachą. Od razu wiedziałam, że to coś groźnego. Poszłam do lekarza, który mnie uspokoił, że nie ma się czym martwić, więc skonsultowałam się z drugim lekarzem, potem z trzecim, wiesz, jak to jest, no i ten trzeci stwierdził, że owszem, jest się czym martwić.

– Wpadłaś w panikę? – spytałem. – Wpadłaś w panikę, moja piękna przyjaciółko?

Byłem tak wstrząśnięty, że sam uległem panice.

– Tak – odparła. – Panikowałam potwornie.

– W nocy?

– Zwłaszcza w nocy. Biegałam po całym mieszkaniu. Szalałam ze strachu.

Rozplakałem się i przytuliłem ją znowu.

– Czemu nie zadzwoniłaś? – spytałem. – Czemu nie zadzwoniłaś od razu?

– Nie miałam odwagi – odparła, już drugi raz tej nocy.

– A do kogo chciałaś zatelefonować?

– Oczywiście do matki. Ale wiedziałam, że i ona wpadnie w panikę, bo jestem jej córką, jedynaczką, bo jest bardzo uczuciowa, bo wszyscy dookoła poumierali, Davidzie, wszyscy poumierali...

– Jak to wszyscy? Kto umarł?

– Mój ojciec.

– W jakich okolicznościach?

– W katastrofie lotniczej. Leciał do Paryża tamtym samolotem. W interesach.

– Och, nie...

– Niestety.

– A twój ukochany dziadek?

– Też nie żyje. Zmarł sześć lat temu. Od niego się zaczęło. Zawał serca.

– A babcia, ta od różańców? Babcia-księżna?

– Też umarła. Wkrótce po dziadku. Zmarła ze starości.

– Ale twój młodszy brat...?

– Nie, on ma się świetnie. Ale nie mogłam zadzwonić do niego z taką wiadomością. Nie umiałby sobie z tym poradzić. No i wtedy pomyślałam o tobie. Ale nie wiedziałam, czy jesteś sam.

– Cóż to za problem? Obiecay mi teraz jedno: jeśli ogarnie cię panika, w nocy czy w dzień, dzwoń natychmiast. Zawsze do ciebie przyjadę. Zapisz mi tu swój adres, wszystkie numery telefonu, do domu, do pracy, wszędzie.

A mówiąc to, myślałem: Ona umiera na moich oczach, ona też umiera. Wystarczyło jedno naruszenie równowagi bezpiecznego życia tej kubańskiej rodziny, wystarczyła przewidywalna śmierć ukochanego starego dziadka, aby uruchomić lawinę nieszczęść, których kulminacją był rak.

– W tej chwili też się boisz? – spytałem.

– Bardzo. Bardzo się boję. Opuściła mi czasami na dwie minuty, myślę o czymś innym, i nagle z powrotem czuję kamień na dnie żołądka, i nie mogę uwierzyć w to, co mnie spotkało. To wieczna huśtawka, końca nie ma. I być nie może, dopóki nie skończy się rak. Mam sześćdziesiąt procent szans na życie i czterdzieści procent na śmierć.

A potem zaczęła się rozwodzić nad tym, jak cenne jest życie i jak bardzo żał jej matki, przede wszystkim matki – wypowiadała wszystkie nieuniknione w takich chwilach banały. Tak wiele jeszcze chciałam zrobić, takie miałam plany, itepe. Mówiła mi, jak trywialne wydają jej się teraz zmartwienia sprzed paru miesięcy, dotyczące pracy, przyjaciół, strojów – jak choroba narzuciła im całkiem nową perspektywę. A ja myślałem: Nieprawda, nic niczemu nie narzuca nowej perspektywy.

Obserwowałem ją, słuchałem, a gdy nie mogłem już tego znieść, spytałem:

– Czy nie masz nic przeciwko temu, abym dotknął twoich piersi?

– Nie, proszę bardzo.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

– Nie. Nie chcę tylko całować się z tobą. Bo nie mam ochoty na seks. Ale wiem, jak podobały ci się zawsze moje piersi, więc dotknij ich.

Dotknąłem, drżącymi dłońmi. I, rzecz jasna, dostałem erekcji.

– Czy to lewa, czy prawa? – spytałem.

– Prawa.

Przyłożyłem więc rękę do jej prawej piersi. Istnieje takie specyficzne połączenie erotyzmu z czułością, które obezwładnia i podnieca zarazem – to właśnie czułem w owej chwili. Wzwód, któremu towarzyszyło obezwładnienie.

Siedzieliśmy tak, rozmawiając dalej, ja z dłonią na jej piersi, aż znów spytałem:

– Nie przeszkadza ci to?

A ona odparła:

– Chce od ciebie nawet więcej. Bo wiem, że kochasz moje piersi.

– Czego więc chcesz?

– Żebyś dotknął mojego raka.

– Zrobię to. Obiecuję. Ale później, poczekajmy z tym trochę.

Za wcześnie było na to. Jeszcze nie czułem się gotowy. Więc gadaliśmy dalej, i z kolei ona zaczęła płakać, więc próbowałem ją pocieszyć – i nagle płacz ustał, a zastąpiła go nieoczekiwana energia i determinacja.

– Davidzie – powiedziała Consuela – właściwie przyszedłem do ciebie z jedną konkretną prośbą, z jedną sprawą.

– A cóż to za sprawa?

– Po tobie nie miałam ani jednego chłopaka, kochanka, który uwielbiałby moje ciało tak jak ty.

– A miewałaś kochanków?

Znów to samo. Dajmy spokój kochankom. A jednak nie umiałem.

– Miewałaś, Consuelo?

– Tak, ale niewielu.

– Sypiałaś z nimi regularnie?

– Nie, z żadnym regularnie.

– A w pracy? Kochał się w tobie ktoś z pracy?

– Wszyscy.

– Mogę to zrozumieć. No i co? Sami geje? Nie spotykałaś heteroseksualistów?

– Spotykałam, ale wszyscy są do niczego.

– A to czemu?

– Onanizują się po prostu na moim ciele.

– To przykre. To głupie. To niedorzeczne.

– Za to ty kochałeś moje ciało. A ja byłam z niego dumna.

– Dumna z niego byłaś już wcześniej.

– I tak, i nie. Ty oglądałeś moje ciało u szczytu wspaniałości. Dlatego chciałabym, żebyś je zobaczył, zanim zostanie zniszczone przez to, co zamierzają z nim zrobić lekarze.

– Nie mów tak, nie myśl tak. Nikt cię nie zniszczy. Co konkretnie planują lekarze?

– Miałam już chemię. Dlatego nie zdejmuję czapki.

– Jasne. Ale ja akceptuję cię w każdej postaci. Rób, jak chcesz.

– Wolę nie pokazywać ci głowy. Bo z włosami dzieje się dziwna rzecz: po chemii odrastają kępkami. Trochę jak włoski niemowlęcia. To dość niesamowite.

– Włosy łonowe też się traci? – spytałem.

– Nie, zostają. Co też jest dziwne.

– Pytałaś lekarza, dlaczego tak jest?

– Lekarkę. Ale nie umiała wytłumaczyć. Powiedziała tylko: „To dobre pytanie”. Spójrz na moje ręce.

Consuela ma długie, smukłe ręce: delikatne włoski na jej mlecznobiałej skórze istotnie nie zniknęły.

– Widzisz? – spytała. – Mam włosy na rękach, a na głowie nie.

– Prawdę mówiąc, znam sporo łysych mężczyzn, więc czemu nie miałbym zobaczyć łysej kobiety?

– Nie – odparła. – Nie chcę, żebyś to widział.

A po chwili dodała:

– Davidzie, czy mogę prosić cię o wielką przysługę?

– Oczywiście. O co tylko chcesz.

– Czy nie zechciałbyś pożegnać się z moimi piersiami?

– Ależ moja kochana, moja najdroższa, oni nie zniszczą twojego ciała, na pewno nie.

– Całe szczęście, że mam taki duży biust. Ale i tak usuną około jednej trzeciej. Moja lekarka robi wszystko, żeby zminimalizować interwencję chirurgiczną. Ma ludzkie podejście. Jest wspaniała. Nie ma w sobie nic z rzeźnika. Nie jest bezduszną maszyną. Próbuje najpierw zmniejszyć guz chemią. Dzięki temu, operując, wytną najmniej, jak się da.

– A potem można uzupełnić, odbudować usuniętą część, prawda?

– Tak, mogą mi wstrzyknąć silikon. Ale nie wiem, czy się zdecyduje. Bo to jednak obce ciało. Nie będę go czuć.

– A jakiego pożegnania oczekujesz? Czego chcesz? O co mnie prosisz, Consuelo?

W końcu odpowiedziała.

Wziąłem aparat fotograficzny, firmy Leica, z zoomem. Consuela wstała. Zaciągnęliśmy zasłony, pozapalaliśmy wszystkie światła, wybrałem odpowiedniego Schuberta, nastawiłem, a Consuela, nie tańcząc właściwie, lecz wykonując egzotyczne, orientalne ruchy, zaczęła się rozbierać. Niezmiernie elegancko i całkiem niewinnie. Siedziałem na kanapie, a ona stała i rozbierała się. Sposób, w jaki zdejmowała i rzucała na ziemię kolejne elementy stroju, był hipnotyzujący. Mata Hari. Kobieta-szpieg obnażająca się przed oficerem. A przy tym ta jej skrajna niewinność. Najpierw zdjęła bluzkę. Potem buty. To nadzwyczajne, że w drugiej kolejności zdjęła buty. Potem biustonosz. Przypominała teraz mężczyznę, który rozebrał się, ale zapomniał zdjąć skarpetki, przez co wygląda dość komicznie. Kobieta z nagim biustem, ale w spódnicy, nie ma dla mnie erotycznego uroku. Spódnica mać wrażeń. Nagie piersi nad spodniami – to bardzo erotyczne, ale ze spódnicą jest odwrotnie. Już lepiej byłoby w tej sytuacji zostawić stanik, bo spódnica plus nagi biust to obraz matki karmiącej.

Więc Consuela obnażała się dalej. Aż została w samych majteczkach.

– Mógłbyś dotknąć moich piersi? – spytała.

– I chcesz mieć takie zdjęcie, kiedy ich dotykam?

– Nie, nie. Dotknij najpierw.

Uśluchałem. Wtedy Consuela powiedziała:

– Poproszę o zdjęcia z przodu, z profilu i w skłonie. Wykonałem około trzydziestu ujęć. Dobierała pozy, chciała pokazać wszystko. Jak podpira piersi dłońmi. Jak je ugniata. Z lewej strony, z prawej, w skłonie. Wreszcie

ściągnęła majtki i rzeczywiście, włosy łonowe miała takie jak dawniej: proste, przylegające do skóry – tak jak je już opisywałem. Owłosienie azjatyckie. Odniosłem wrażenie, że zdjęcie majtek i fakt, że widzę ją nago, podziałały na Consuelę podniecająco. To stało się nagle. Podniecenie widać było po jej sutkach. Tyle że ze mnie już wszystko opadło. Mimo to spytałem:

– Chciałabyś zostać na noc? Spać ze mną?

– Nie – odpowiedziała. – Nie chcę z tobą spać. Ale chcę posiedzieć w twoich ramionach.

Byłem kompletnie ubrany, tak jak teraz. A ona usiadła na kanapie, bardzo blisko, wtuliła się w moje objęcia, ujęła mnie za nadgarstek i naprowadziła moją dłoń na miejsce pod pachą: dotknąłem raka. Był jak kamień. Kamień pod pachą. Dwa małe kamyki, jeden większy od drugiego, co było znakiem przerzutu do piersi. Ale w piersi nie wyczuwałem niczego.

– Dlaczego nic nie czuję w twojej piersi?

– Bo mam za duży biust. Za dużo tkanki. A on siedzi głęboko.

Nie mógłbym się z nią kochać, nawet ja, który kiedyś zlizywałem jej krew. Po latach obsesyjnych wspomnień, sam jej widok byłby trudny do zniesienia, gdyby pojawiła się w normalnych okolicznościach, a nie w tej nedorzecznie ponurej sytuacji. Więc powtarzam, nie mógłbym się z nią kochać – a jednak myślałem o tym cały czas. Bo one są tak piękne, te jej piersi. Nie mogę się nimi nazachwycać. Jakie to podłe, jakie poniżające, że właśnie te piersi, jej piersi... Nie wolno ich zniszczyć! – protestowałem w duchu. Mówiłem ci już, że onanizowałem się regularnie z myślą o niej przez wszystkie lata rozłąki. W łóżku z innymi kobietami myślałem o niej, o jej piersiach, o tym, jak zanurzam w nie twarz, o ich miękkości, gładkości, o wrażeniu ich ciężaru, miękkiego ciężaru – o tym myślałem, pieszcząc ustami obcy biust. Teraz jednak czułem, że jej życie przestało być życiem seksualnym. Teraz najwyższą stawką w nim było coś innego. Spytałem więc:

– Czy chcesz, żebym pojechał z tobą do szpitala? Chętnie to zrobię, jeśli sobie życzysz. Bardzo bym chciał to zrobić. Przecież jesteś całkiem sama.

Poprosiła o chwilę do namysłu.

– To bardzo miło z twojej strony – rzekła w końcu – ale jeszcze nie wiem. Nie wiem, czy chciałabym zobaczyć cię zaraz po operacji.

Wyszła ode mnie blisko wpół do drugiej – a przyszła około ósmej. Nie spytała, co zrobię ze zdjęciami, które wykonałem na jej prośbę. Nie poprosiła

o odbitki. Do dziś tych zdjęć nie wywołałem. Sam jestem ich ciekaw. Porobię powiększenia. I wyślę jej komplet, oczywiście. Tylko muszę poszukać zaufanego specja od wywoływania filmów. Sam, zważywszy na swoje zainteresowania, powinienem był dawno nauczyć się obróbki fotograficznej, ale jakoś tego nie zrobiłem. Szkoda, przydałoby się teraz.

Ona niebawem zgłosi się do szpitala. W każdej chwili, codziennie, czekam na jej wiadomość. Odkąd widzieliśmy się trzy tygodnie temu, nie dała znaku życia. Odezwie się? Myślisz, że się odezwie? Zakazała mi kontaktować się z sobą. Już niczego więcej ode mnie nie chce – tak powiedziała przy pożegnaniu. A ja bezustannie czuвам przy telefonie, bojąc się ją przegapić.

Od czasu jej wizyty dzwonię do wszystkich znajomych lekarzy, wypytując o metody leczenia raka piersi. Bo zdawało mi się zawsze, że w takich przypadkach najpierw przeprowadza się operację, a potem stosuje chemioterapię. Dlatego niepokoiłem się przez cały czas odwiedzin Consueli i dręczyła mnie myśl: W jej chorobie jest coś specyficznego, czego nie rozumiem. Teraz dowiaduję się jednak, że stosowanie chemii przed operacją nie jest wcale takie rzadkie, a nawet staje się standardową terapią w przypadku zaawansowanego pojedynczego guza piersi – jednak wciąż aktualne pozostaje pytanie, czy ta terapia jest właściwa dla Consueli? Co znaczą jej słowa, że ma sześćdziesiąt procent szans na życie? Dlaczego tylko sześćdziesiąt? Czy ktoś jej to powiedział, czy gdzieś wyczytała, czy może sama sobie zmyśliła w odruchu paniki? A może takie długoterminowe prognozy przeżycia stawia się z czystej próżności? Może to tylko reakcja na szok – całkiem typowa w dodatku? Tak czy owak, nie umiem opędzić się od myśli, że w jej historii jest coś, czego mi nie zdradziła, albo czego nawet jej samej nie zdradzono... W każdym razie tak brzmi historia Consueli w wersji, którą poznałem, i jak dotąd nic więcej nie wiem.

Wyszła ode mnie około wpół do drugiej w nocy, gdy Nowy Rok dotarł do Chicago. Napiliśmy się herbaty. Wychyliliśmy lampkę wina. Na jej prośbę włączyłem telewizor i obejrzeliliśmy powtórkę relacji z powitania Nowego Roku w Australii, kolejnych krajach Azji i Europy. Consuela wpadła w nastrój z lekka sentymentalny. Zebrało jej się na wspomnienia. Wspomnienia z dzieciństwa. O tym, jak ojciec zabierał ją, jeszcze malutką, do opery. Opowiedziała mi też o sprzedawcy kwiatów.

– W ubiegłą sobotę kupowałam z matką kwiaty na Madison Avenue. „Jaka ładna ma pani czapeczkę” – powiedział sprzedawca. Na to ja: „Noszę ją nie bez powodu”. Zrozumiał natychmiast, zaczerwienił się, przeprosił, i dał mi za darmo tuzin róż. Sam więc widzisz, jak ludzie reagują na cudze nieszczęście. Bezradnością. Nikt nie wie, co powiedzieć ani co zrobić. Dlatego jestem ci niezmiernie wdzięczna.

Jak się czułem po jej wyjściu? Tej nocy najbardziej bolała mnie myśl, że ona leży samotnie w łóżku, trawiona paniką. Paniką śmierci. I co teraz będzie? Jak myślisz? Nie sądzę, aby poprosiła mnie o towarzyszenie jej do szpitala. Ucieszyła ją moja propozycja, ale gdy termin nadejdzie, pewnie odwiezie ją matka. Po prostu nie mogła usiedzieć w Nowym Jorku: udręczona, bała się iść na sylwestra, gdzie była zaproszona, i bała się zostać sama z tą udręką. Nie przypuszczam też, że zadzwoni do mnie, gdy wpadnie w panikę. Czekala na tę propozycję, ale z niej nie skorzysta.

Chyba że się mylę. Chyba że za dwa-trzy miesiące od dziś przyjdzie do mnie i powie, że chce się ze mną kochać. Że woli być ze mną niż z kimś młodym, bo jestem stary i sam daleki już od doskonałości. Że woli mnie, bo chociaż jeszcze całkiem nie wyschłem, to rozkład organiczny jest u mnie bardziej widoczny niż u tych kolegów z siłowni, którzy mieli szczęście nie narodzić się przed kadencją Roosevelta.

Ale czy ja będę do tego zdolny? Mimo podeszłego wieku nie spałem jeszcze z kobietą w ten sposób okaleczoną. Mogę wymienić tylko jedną, znaną przed laty, która w drodze do mojego mieszkania wyznała: „Muszę ci coś powiedzieć – przeszłam operację i mam tylko jedną pierś. Nie chciałabym, żebyś przeżył szok”. Nie, bez względu na to, jak czujesz się nieulekły, musisz przyznać szczerze, że perspektywa oglądania kobiety z jedną piersią nie brzmi zbyt zachęcająco, prawda? Zdołałem wówczas udąć lekkie zdziwienie, pozornie bez związku z brakiem jej piersi, i nie okazując, jak mniemam, zdenerwowania, spróbowałem ją uspokoić, mówiąc: „Och, nie bądź niemądra, nie idziemy przecież do łóżka. Jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi i takimi, mam nadzieję, pozostaniemy”. Spałem też raz z kobietą, która miała wielkie znamię barwy ciemnego wina między piersiami i częściowo na piersiach. Była przy tym wysokiego wzrostu. Metr osiemdziesiąt. Jedyna kobieta, którą mogłem pocałować, tylko wspiawszy się na palce i wyciągnawszy szyję. Od tego całowania dostałem skurczu w karku. Kiedy szliśmy do łóżka, zdjęła z siebie najpierw spódnice i majtki, czego kobiety na ogół nie robią. Zazwyczaj zaczynają od bluzki i górnej części ciała. Ona jednak pozostała w sweterku i staniku. „Nie zdejmiesz stanika i

sweterka?” – zapytałem. „Zdejmę – powiedziała – ale nie zdziw się za bardzo. Mam pewną wadę”. Próbowała zbagatelizować wyznanie uśmiechem. „Co to za wada, powiedz?” „Będziesz zaszokowany widokiem mojego biustu”. „Nie przejmuj się. Pokaż”. Więc pokazała. A ja zareagowałem przesadnie. Zacząłem obcałowywać to znamię. Dotykać go. Bawić się nim. Przez grzeczność. Żeby oszczędzić jej zażenowania. Zapewniałem, że jest śliczne. Trudno w takich chwilach zachować umiar. Ale nie wolno tracić opowania, działać histerycznie – trzeba postąpić z godnością. Nie wzdragać się przed niczym, co znosić musi cudze ciało. Przed tym znamieniem barwy wina. Dla niej to był dramat. Imponująca kobieta, metr osiemdziesiąt wzrostu. Samym tym nadzwyczajnym wzrostem przyciągała mężczyzn, ze mną włącznie. I każdemu musiała powtarzać to samo: „Mam pewną wadę”.

Zdjęcia. Nigdy nie zapomnę, jak Consuela poprosiła mnie o zrobienie tych zdjęć. Dla przypadkowego podglądacza z zewnątrz musiałoby to wyglądać na scenę z filmu pornograficznego. A przecież było jak najdalsze od pornografii.

– Masz aparat fotograficzny?

– Mam.

– Mógłbyś mi zrobić parę zdjęć? Chciałabym zachować zdjęcia swojego ciała takiego, jakim ty je znałeś. Takiego, jakie widziałeś. Bo ono wkrótce już nie będzie takie jak dawniej. Oprócz ciebie nie znam nikogo, kogo mogłabym o to poprosić. Nie zwróciłabym się z tym do żadnego innego mężczyzny. Inaczej nie zawracałabym ci głowy.

– Jasne – odparłem. – Zrobimy to. Jestem gotów na wszystko. Wyraż tylko życzenie. Proś mnie, o co chcesz. Mów otwarcie.

– Nastaw jakąś muzykę i idź po aparat, dobrze?

– Jakiej muzyki sobie życzysz?

– Schuberta. Coś z kameralnych utworów Schuberta.

– Proszę bardzo, proszę bardzo – odparłem, dodając w duchu: byle nie *Śmierć i dziewczyna*.

A jednak nie poprosiła mnie o przesłanie choćby jednej odbitki. Pamiętajmy, że Consuela nie jest dziewczyną o wybitnej inteligencji. Gdyby taka była, sprawę zdjęć należałoby interpretować całkiem inaczej. Uwzględniając element taktyki. Usiłując rozgryźć strategię działania. Consuela jednak działała z na wpół uświadomioną spontanicznością i szczerością,

nawet gdy sama nie do końca rozumie, co właściwie robi i dlaczego. Jej przyjście do mnie z prośbą o zdjęcia było bliskie odruchowi naturalnemu, mimowolnej myśli, intuicji, za którą nie kryje się racjonalna motywacja. Można było stworzyć taką motywację, ale to nie leżało w naturze Consueli. Ona po prostu, jak sama stwierdziła, poczuła konieczność udokumentowania urody i doskonałości swego ciała właśnie dla mnie, który tak bardzo je kochałem. W istocie jednak kryło się za tym znacznie więcej.

Zaobserwowałem, że kobiety są na ogół niepewne własnego ciała, nawet te o urodzie bez skazy, jak Consuela. Nie każda wie, że jest piękna. Taką świadomość mają tylko kobiety określonego typu. Pozostałe skarżą się na nieistotne szczegóły. Często mają odruch ukrywania piersi – ze wstydu, którego istoty nie jestem w stanie przeniknąć. Trzeba je długo przekonywać, zanim odsłonią piersi ze szczerą przyjemnością i zaczną czerpać autentyczną radość z tego, że się na nie patrzy. Nawet te szczególnie hojnie obdarzone przez los. Tylko nieliczne obnażają się bez skrpułów, a te akurat nie mają najczęściej modelowych piersi, o jakich marzy każdy mężczyzna.

Jednak erotyczna potęga ciała Consueli minęła bezpowrotnie. To prawda, że owej nocy doznałem erekcji, ale nie zdołałbym jej utrzymać. Chociaż szczęśliwie nie narzekam na brak wzrodu i pociągu seksualnego, byłbym w sporym kłopotcie, gdyby Consuela zapragnęła wtedy się ze mną przespać. W takim samym kłopotcie będę, jeśli przyjdzie jej to kiedyś do głowy po operacji. A pewnie przyjdzie. Przyjdzie, nie sądzisz? Najpierw zechce spróbować z kimś znajomym i starym. To kwestia zaufania, kwestia dumy: lepiej ze mną niż z Carlosem Alonso albo braćmi Villareal. Wiek nie działa, co prawda, tak jak rak, ale swoje robi.

Część druga. Mijają trzy miesiące od dziś i ona dzwoni znowu. „Spotkajmy się” – proponuje, po czym znowu się rozbiera. Czy grozi mi taki kataklizm?

Jest taki obraz Stanleya Spencera, wisi w Tate: podwójny akt artysty i jego żony, uwiecznionych grubo po czterdziestce. To kwintesencja szczerzej wypowiedzi na temat trwałych związków, na temat płci egzystujących razem w czasie. Mam jego reprodukcję w jednym z albumów Spencera, na dole. Potem przyniosę. Spencer siedzi, kuca właściwie, obok leżącej żony. Wzrokiem pełnym gorzkiego żalu spogląda na nią z góry, z bliska, przez okulary w drucianej oprawie. Widz też przygląda im się z bliskiej perspektywy: dwa nagie ciała widnieją tuż przed naszymi oczami, eksponując

bezwstydnie to, że nie są już ani młode, ani atrakcyjne. Żadne z tych dwojga nie jest szczęśliwe. Ciężka przeszłość czepia się kurczowo teraźniejszości. Zwłaszcza w postaci żony wszystko obwisło, pogrubiało, i widać już oznaki strat poważniejszych niż wędzące ciało.

Na skraju stołu, widocznym w pierwszym planie, leżą dwa kawałki mięsa: udziec jagnięcy i mały kotlet. Surowe mięso odmalowane zostało z fizjologiczną pedanterią i tą samą bezlitosną szczerością, z którą artysta przedstawił sflaczałe piersi i obwisły, wyzuty z pożądania członek, umiejscowione o kilkanaście raptem centymetrów od nieugotowanego pożywienia. Patrzymy jak przez okno rzeźnika, nie tylko na mięso, ale i na anatomię seksualną pary małżeńskiej. Ilekroć teraz myślę o Consueli, przypomina mi się ten surowy udziec jagnięcy w kształcie prymitywnej maczugi, a obok bezwstydnie obnażone ciała męża i żony. Im dłużej patrzy się na obraz, tym bardziej absurdalna wydaje się obecność mięsa tuż przy materacu małżeńskiego łóża. Uderza melancholijna rezygnacja w tępowym spojrzeniu żony i odrąbana brutalnie porcja mięsa, która nie ma już nic wspólnego z żywym jagnięciem. Od trzech tygodni, od nocnej wizyty Consueli, nie umiem pozbyć się widoku tych dwóch szczegółów.

Obejrzeliliśmy, jak Nowy Rok dociera do kolejnych punktów kuli ziemskiej, witany bezsensowną masową histerią, w którą przekształciły się sylwestrowe obchody milenijne. Świetliste wybuchy obejmowały kolejne strefy czasu i żaden z nich nie był zainicjowany przez ben Ladena. Nad nocnym Londynem wirował świetlny spektakl, który nie miał sobie równych od czasu barwnych pióropuszy dymu towarzyszących bitwie o Anglię. A wieża Eiffla tryskała ogniem niczym kopia miotacza, jaki Wernher von Braun skonstruować mógł dla hitlerowskiego arsenału zniszczenia – legendarnego pocisku nad pociskami, rakiety nad raketami, bomby nad bombami, której wyrzutnią stał się wiekowy Paryż, a celem – cała ludzkość. Przez okrągły wieczór wszystkie stacje telewizyjne nadawały relację z Armagedonu, którego oczekiwaliśmy w przydomowych schronach od szóstego sierpnia czterdziestego piątego roku. Jakże mogło być inaczej? Przecież nawet tej nocy, zwłaszcza tej nocy, ludzie spodziewali się najgorszego, a cały wieczór był jednym wielkim próbnym alarmem bombowym. Oczekiwaniem na serię koszmarnych Hiroszim, które połączą się w łańcuch unicestwienia potulnych cywilizacji całego świata. Teraz albo nigdy. I nie stało się.

Może to właśnie było przyczyną zbiorowej euforii: że się nie stało, że nie nastąpiło, że ostateczna katastrofa końca teraz już nigdy nie nadejdzie. A cały ten chaos jest chaosem kontrolowanym, odmierzonym przerwami na reklamę nowych samochodów. Telewizja pokazała to, w czym jest najlepsza: triumf trywializacji nad tragedią. Triumf Powierzchnowości, anonsowany przez Barbarę Walters. Zamiast unicestwienia wielowiekowych miast – międzynarodowa erupcja powierzchowności, globalny wybuch sentymentalizmu, jakiego nie zaznała dotąd nawet Ameryka. Od Sydney, przez Betlejem, po Times Square, banał przenosi się z ponaddźwiękową prędkością. Bez bombardowań, bez rozlewu krwi – następnym wielkim BUM!, które usłyszymy, będzie boom zysków i eksplozja rynku. Resztki trzeźwego spojrzenia na nieszczęścia naszego wieku zostały skrzętnie znieczulone sztucznie rozdmuchanym bodźcem superiluzji. Śledząc ten nadęty pokaz inscenizowanego szaleństwa, miałem uczucie, że bogaty świat z entuzjazmem wkracza w erę świetności wieków ciemnych. Noc radosnego przejścia ludzkości w barbarzyństwo.com. Wszystko, aby godnie powitać tandetę i kicz nowego milenium. Noc godna nie pamięci, ale zapomnienia.

Pamiętać warto tylko tę kanapę, na której siedzę, trzymając w objęciach Consuelę, otaczając ramionami jej nagość i ogrzewając dłońmi jej piersi. Oglądamy powitanie Nowego Roku na Kubie. Żadne z nas nie spodziewało się tego, ale oto na ekranie wyrasta Hawana. W mieszczącym tysiąc turystów i zwanym nocnym klubem amfiteatrze występuje zabalsamowane, reżimowe wcielenie karaibskiej superatrakcji, która w czasach przedrewolucyjnych przyciągała rzesze największych rozrzutników. Tropicana Night-club z hotelu Tropicana. Nie widać żadnych Kubańczyków, oprócz tych, którzy bawią publikę, nie bawiąc jej bynajmniej – czyli licznej grupy młodzieży, w liczbie dziewięćdziesięciu sześciu osób, jak podaje ABC, poubieranych w głupkowate białe kostiumy. Gigantyczny zespół nie tyle tańczy i śpiewa, ile okrąża scenę, wyjąc w przenośne mikrofony. Artystki przypominają długonogich latynoskich transwestytów z West Village, paradujących w kółko po wybiegu. Na głowach noszą wielgachne abażury – każdy metrowej wysokości, jak informuje ABC. Ażury i kaskady białych loków, spływające po plecach.

– Mój Boże – westchnęła Consuela i rozplakała się. – On coś takiego... – dodała z wściekłością – ...coś takiego oferuje światu. Tylko to ma do pokazania w sylwestra.

– Może to zamierzona farsa – uspokajałem. – Żart w stylu Castro.

Czyżby istotnie? – zastanowiłem się w duchu. Czy to niezamierzona satyra na samego siebie, bo Castro już całkiem stracił poczucie rzeczywistości, czy też raczej satyra intencjonalna, wypływająca z jego nienawiści do kapitalistycznego świata? Wyraz skrajnej pogardy dla korupcji z czasów Batisty, którą dla niego, dla Castro, symbolizują takie właśnie turystyczne kluby nocne jak Tropicana? To ma być jego milenijna ofiara? Papież nie zdobyłby się na coś podobnego – ma doskonałe stosunki ze światem. Tej skali szyderstwa dorównać mógłby jedynie Związek Radziecki. Castro miał przecież wielki wybór ogranych socjalistycznych *tableaux*: obchody noworoczne na plantacji cukru, na oddziale położniczym, w fabryce cygar – szczęśliwi kubańscy robotnicy pałacy cygara, szczęśliwe młode matki promieniejące uśmiechem, szczęśliwe kubańskie noworodki przy pierwszym karmieniu... Ale pokazać najbardziej kiczowatą turystyczną rozrywkę? Czy była to rozmyślność, czy głupota, czy też złośliwy żart, wymierzony w zbiorową histerię adoracji nic nieznaczącego punktu na siatce historii? Jakikolwiek motyw nim kierował, Castro ma to wszystko w nosie. Nie poświęci ani minuty na okolicznościową refleksję. Bo czemuż Castro, rewolucjonista, czemuż ktokolwiek miałby zawracać sobie głowę zjawiskiem, które daje nam iluzję zrozumienia czegoś, czego nie rozumiemy? Upływu czasu. Dryfujemy, zatapiamy się w czasie coraz głębiej, aż w końcu idziemy na dno i jest po nas. A z tego niewydarzenia robi się wielkie widowisko w chwili, gdy Consuela przeżywa mękę największego zdarzenia swojego życia. Wielki Koniec – choć nikt nie jest pewien czego – dobiega końca, a o tym, co się zaczyna, z pewnością nie wiemy nic. Świątujemy szaloną uroczystość nie wiadomo czego.

Jedna Consuela to wie. Bo Consuela poznała ranę czasu. Starzenie się jest niewyobrażalne dla wszystkich oprócz tych, którzy się starzeją – Consueli to już jednak nie dotyczy. Ona nie mierzy już czasu tak jak młodzi, od początku życia. Dla młodych czas zawsze zbudowany jest z przeszłości, ale dla Consueli czas to wymiar przyszłości, którą ma ona przed sobą – i w którą nie wierzy. Consuela odlicza teraz swój czas do przodu, wedle bliskości śmierci. Pryśła iluzja, metronomiczna iluzja, kojąca myśl o miarowym tik-tak, które przynosi wszystko we właściwym czasie. Teraz poczucie czasu Consueli jest takie jak moje, ma w sobie nawet więcej przyspieszenia i osamotnienia. W istocie, przegoniła mnie. Bo ja wciąż jeszcze mogę sobie powiedzieć: „Nie umrę przez najbliższe pięć, a może nawet dziesięć lat. Jestem sprawny, dobrze się czuję, mogę pociągnąć jeszcze ze dwadzieścia” – a ona...

Najpiękniejszą bajką dzieciństwa jest opowieść o tym, że wszystko zdarza się po kolei. Dziadkowie odchodzą na długo przed rodzicami, a rodzice na długo przed tobą. Jeśli człowiek ma szczęście, może tak być, że zestarzeje się i umrze w swoim czasie, a żałobnicy nad jego grobem doznają ulgi na myśl, że miał długie życie. Myśl ta nie umniejsza koszmaru unicestwienia, ale jest sztuczką pozwalającą nam zachować bez szwanku metronomiczną iluzję i utrzymać na wodzy torturę czasu: „Taki-a-taki żył długo”. Ale Consuela nie miała szczęścia; dlatego siedzi koło mnie, zagrożona wyrokiem śmierci, podczas gdy na ekranie telewizora trwa całonocna uciecha, sfabrykowana, infantylna histeria, wywołana iluzją ogarnięcia nieskończonej przyszłości, jakiej osoba dojrzała, obdarzona melancholijną wiedzą o przyszłości wielce ograniczonej, nigdy nie dałaby się porwać. A tej szalonej nocy niczyja wiedza nie dorównuje melancholią wiedzy Consueli.

– Hawana... – mówi Consuela, szlochając coraz głośniej.

– Myślałam, że zobaczę kiedyś Hawanę.

– I zobaczysz.

– Nie zobaczę. Och, Davidzie, mój dziadek...

– Co takiego? Opowiedz mi, mów.

– Mój dziadek siadywał w salonie...

– Mów dalej.

Utuliłem ją w ramionach i zaczęła mówić o sobie jak nigdy dotąd, bo może wcześniej nie miała po temu powodu, a może nawet sama siebie dostatecznie nie знаła.

– Nastawiał wiadomości, *The NewsHour* albo *The Mac-Neil-Lehrer NewsHour* – wspominała, zalewając się łzami – i nagle wzdychał: „*Pobre Mama*”. Zmarła w Hawanie, z dala od niego. Bo tamta generacja, starsza generacja, nie wyjechała. „*Pobre Mama. Pobre Papa*”. Zostali w ojczyźnie. A w dziadku na zawsze pozostał smutek, tęsknota za nimi. Straszliwa, straszliwa tęsknota. Ja tęsknię tak samo. Tyle że za sobą. Za własnym życiem. Czuję siebie, czuję dłońmi swoje ciało, i myślę: To jest moje ciało! Nie może mnie opuścić! To niedorzeczność! To nie dzieje się naprawdę! Jak może mnie zdradzić własne ciało? Ja nie chcę umierać! Davidzie, ja boję się śmierci!

– Nie umrzesz, kochana Consuelo. Masz trzydzieści dwa lata. Jeszcze bardzo długo nie umrzesz.

– Wychowałam się na wygnaniu. Dlatego wszystkiego się boję. Wiedziałaś to o mnie? Boję się wszystkiego.

– Och, nie. Nie sądzę, żeby to była prawda. Wszystkiego? Może tak ci się zdaje dzisiaj w nocy, ale...

– Tak jest zawsze. Nie chciałam żyć z rodziną na wygnaniu. Ale człowiek dorasta i wciąż słyszy wokół siebie: „Kuba, Kuba, Kuba”... A spójrz na to! Na tych ludzi! Co za wulgarny motłoch! Spójrz, co on zrobił z Kubą! Nigdy jej nie zobaczę. Nigdy nie zobaczę tamtego domu. Ich domu.

– Ależ zobaczysz, na pewno. Gdy tylko Castro umrze...

– Mnie już nie będzie.

– Będziesz, będziesz. Przekonasz się. Nie panikuj. Nie ma powodu do paniki. Wyzdrowiejesz, będziesz żyć...

– Chcesz wiedzieć, jak wyobrażałam sobie tamten kraj? Przez całe życie? Chcesz poznać moją wizję Kuby?

– Tak. Opowiedz mi. Spróbuj się uspokoić i opowiedz mi wszystko. Mam wyłączyć telewizor?

– Nie... nie. Pokażą jeszcze coś innego. Muszą pokazać.

– Przedstaw mi swoją wizję, Consuelo.

– Nie ma w niej plaży. Plażę wspominali moi rodzice. Rozmawiali często o tym, jak miło spędzali tam czas: dzieciaki biegały po piasku, a dorośli, wyciągnięci w leżakach, zamawiali koktajle Mimoza. Jak wynajmowali domek przy plaży i tak dalej – ale to nie były moje wspomnienia. Ja pamiętałam coś innego. Od zawsze. Och, Davidzie, oni pogrzebali Kubę na długo przedtem, zanim sami zostali pogrzebani. Musieli tak zrobić. Mój ojciec, dziadek, babcia – wszyscy wiedzieli, że nigdy więcej tam nie wrócą. I nie wrócili. A teraz i ja wiem, że nie wrócę.

– Wrócisz – zapewnilem ją. – No więc jaką to wizję miałaś od zawsze? Przedstaw mi ją. Mów.

– Zawsze myślałam, że tam wrócę. Tylko po to, by zobaczyć dom. I że dom będzie na miejscu.

– Więc twoja wizja jest obrazem domu?

– Nie. To obraz drogi. El Malecón. Gdy obejrzysz jakiegokolwiek zdjęcie z Hawany, na każdym będzie El Malecón. Przepiękna droga biegnąca tuż nad

brzegiem. Od wody oddziela ją falochron, na którym – co widać na zdjęciach – przesiadują tłumy ludzi, którym do niczego się nie spieszy. Oglądałeś film *Buena Vista Social Club*?

– Owszem. Naturalnie, ze względu na ciebie. Oglądając go, cały czas myślałem o tobie.

– Tam też pokazują tę drogę. I falochron, o który rozbijają się fale. Widać go tylko przez moment. Zawsze wyobrażałam sobie siebie właśnie w tym miejscu.

– Droga, która mogła się zdarzyć... – podsumowałem.

– Powinna była się zdarzyć – poprawiła Consuela, wstrząsana niepohamowanym szlochem.

A na ekranie panienki w abażurach na głowach (każdy, jak podano, o wadze siedmiu kilogramów) paradują bez celu po scenie. Tak, Castro bez wątpienia mówi w ten sposób dwudziestemu stuleciu: „Mam cię w dupie”. Bo jest to jednocześnie koniec jego przygody z historią, koniec śladu, który odcisnął i którego nie zdążył odcisnąć, na bilansie ludzkich zdarzeń.

– Mów dalej – poprosiłem. – Nigdy wcześniej mi o tym nie opowiadałaś. Nie mówiłaś tak przed ośmiu laty. Wtedy byłaś słuchaczką. Moją studentką. O tych sprawach nie miałem pojęcia. Powiedz więcej. Powiedz, co powinno było się zdarzyć.

– Tamten falochron – odparła – i ja. Nic więcej. Siedzieć tam i gadać z ludźmi. I tyle. Być nad wodą, a zarazem w mieście. To główne miejsce spotkań. Promenada.

– Na filmie mur wyglądał na mocno zniszczony – zauważyłem.

– To prawda. Ale ja przez całe życie widziałam go zupełnie inaczej.

I nagle cały żal, cały ciężar smutku z powodu wszystkiego, co straciła jej rodzina, z powodu ojca i dziadków zmarłych na wygnaniu, z powodu własnej bliskiej śmierci na wygnaniu (na wygnaniu, którego nigdy dotąd tak boleśnie nie odczuwała), z powodu całej zrujnowanej przez Castro Kuby rodu Castillo, z powodu wszystkiego, co bała się utracić – cały ten ciężar przytłoczył moje ramiona, a Consuela na co najmniej pięć minut popadła w szaleństwo. Na moich oczach zeksternalizował się przemożny, organiczny lęk jej ciała.

– Co się dzieje, Consuelo? Jak mogę ci pomóc? Powiedz, zrobię wszystko. Co cię tak dręczy?

A oto co mi odpowiedziała, gdy wreszcie mogła przemówić. Oto, ku mojemu zdumieniu, była przyczyna jej największej udręki:

– Zawsze odpowiadałam rodzicom po angielsku. O Boże! Jak strasznie żałuję, że nie rozmawiałam z nim częściej po hiszpańsku.

– Z kim?

– Z ojcem. Uwielbiał, gdy mówiłam na niego „Papi”. Ale szybko z tego wyrosłam. Potem zawsze nazywałam go „Dad”. Musiałam. Postanowiłam być Amerykanką. Nie chciałam odziedziczyć ich smutku.

– Najdroższa Consuelo, to już nie ma znaczenia, jak go nazywałaś. On i tak wiedział, że go kochasz. Wiedział, jak bardzo...

Nic jej jednak nie mogło pocieszyć. Jeszcze nigdy nie słyszałem, aby przemawiała w ten sposób, ani nie widziałem, aby zachowała się tak, jak to miała zrobić za chwilę. W każdym opanowanym, rozsądnym człowieku czai się drugie ja, do szaleństwa przerażone wizją śmierci, jednak dla osoby trzydziestodwuletniej dystans czasowy między Teraz a Wtedy jest na ogół tak ogromny, tak niezmierny, że najwyżej parę razy do roku, a i to zwykle na chwilę, późną nocą, dochodzi do spotkania z tym drugim ja i doznania szaleństwa, które dla owego drugiego ja jest chlebem powszednim.

Cóż takiego zrobiła Consuela? Zdjęła czapkę. Zrzuciła czapkę. Przez cały czas chowała głowę pod tym niby-fezem, nawet kiedy została całkiem naga, a ja fotografowałem jej piersi. I nagle zerwała go jednym ruchem. Z sylwestrową fantazją zerwała z głowy swój komiczny balowy kapelusik. Najpierw Fidel urządza farsę seksownego pokazu, a potem Consuela demaskuje swoją śmiertelność.

Widok jej głowy bez czapki był porażający. Taka młoda, piękna kobieta, z krótkim, wiotkim, bezbarwnym, bezsensownym puszkim zamiast włosów – już lepiej byłoby ujrzeć ją łysą, ogoloną do skóry, niż z tym idiotycznym pierzastym porostem. Nagłe przejście od postrzegania drugiej osoby po dawnemu – jako podobnej nam istoty żywej – do świadomości znaku, jakim dla mnie była jej skąpo opierzona łysina, że osoba ta bliska jest śmierci, że umiera, wywołało we mnie nie tylko szok, ale i poczucie zdrady. Zdrady Consueli za to, że zbyt szybko zasymilowałem szok i dokonałem trzeźwej kalkulacji. Nastął dla nas obojga traumatyczny moment przemiany, która

pozwała odkryć, że oczekiwania drugiej osoby nie mogą już być podobne do naszych, bo choćbyśmy zachowywali się jak najwłaściwiej, ta osoba odejdzie przed nami – nawet grubo przed nami, o ile dopisze nam szczęście.

Samo w sobie. Jawiło się przede mną. Z całą grozą emanującą z tej bezwłosej głowy. Głowy Consueli. Całowałem ją bez końca. Cóż innego miałem robić? Trucizna chemioterapii. Spustoszenie, jakie wywołała w jej ciele. W jej umyśle. Ona ma trzydzieści dwa lata, a czuje się już wydziedziczona ze wszystkiego, każde doświadczenie przeżywa jako ostatnie. A jeśli tak jest w istocie? A jeśli...

Nareszcie! Telefon! To może być...! O tej godzinie? Druga w nocy. Przepraszam cię!

Tak. To była ona. Zadzwoiła. Wreszcie zadzwoiła. Muszę jechać. Jest w panice. Za dwa tygodnie czeka ją operacja. Wzięła ostatnią chemię. Prosiła, żebym jej mówił, jak piękne ma ciało. Dlatego rozmowa tak się przedłużyła. Tylko to chciała usłyszeć. O tym rozmawialiśmy przez blisko godzinę. O jej ciele. Myślisz, że po operacji jakiś mężczyzna znów pokocha moje ciało? – pytała mnie co chwila. Bo jednak postanowili amputować jej całą pierś. Przedtem planowali ciąć od spodu i usunąć tylko fragment. Teraz jednak orzekli, że sprawa jest zbyt poważna. Więc muszą usunąć całość. Dziesięć tygodni temu obiecywali jej, że wytną tylko część, a teraz zamierzają wyciąć wszystko. Pamiętaj, że chodzi o pierś. Niemały organ. O tym, co ją czeka, poinformowali ją dziś rano; teraz jest noc, ona siedzi sama, a perspektywa tego koszmaru... Muszę jechać. Ona mnie potrzebuje. Chce, żebym leżał w łóżku obok niej. Przez cały dzień nic nie jadła. Musi coś zjeść. Trzeba ją nakarmić. A ty? Zostań tutaj, jeśli chcesz. Chcesz, to zostań, a jeśli wolisz wyjść... Posłuchaj, nie mam już czasu, muszę lecieć!

– Nie.

Co mówisz?

– Nie jedź.

Kiedy muszę. Ktoś musi przy niej być.

– Znajdzie kogoś.

Jest przerażona. Jadę.

– Zastanów się jeszcze. Zastanów się. Bo jeśli pojedziesz, to po tobie.